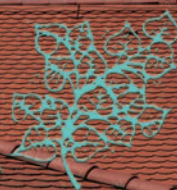


MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY POLAKÓW W REPUBLICE SŁOWACKIEJ

MONITOR POLONIJNY



ISSN 1336-104X

ROCZNIK XXX

CZERWIEC

2025

NR 6



Kto był, ten wie str 12
Kočovce razdeľá!

Czego uczy nas str 5
Titanic?





Tak głosowali Polacy w Bratysławie

W wyborach na prezydenta RP, które odbyły się 18 maja i 1 czerwca w obwodzie głosowania nr 297, czyli w siedzibie Instytutu Polskiego w Bratysławie wzięło udział w pierwszej turze - 586 osób, a w drugiej - 868, w tym na podstawie zaświadczeń odpowiednio - 94 osoby a w drugiej turze aż 168. Byli to najczęściej, turyści podróżujący po Słowacji i przez Słowację. I tak na przykład 1 czerwca grupa turystów z Polski podjechała autokarem już o 7 rano, kiedy otwierano lokal wyborczy. W terminie majowym Polaków na Słowację przyciągnęły zawody sportowe, odbywające się w Šamorinie, a znanego aktora Borysa Szyca - praca na planie filmowym do najnowszej polsko-słowackiej produkcji.

W drugiej turze magnesem były koncert grupy Iron Maiden i zawody w pokera, które odbywały się w stolicy Słowacji.

„Wszystko poszło zgodnie z planem, nie było żadnych niespodzianek ani zakłóceń przebiegu wyborów” - informował nas konsul RP w Bratysławie Artur Łukiańczuk zarówno w maju, jak i w czerwcu. Frekwencja w pierwszej turze wyniosła 92 %, w drugiej - 90%.

W pierwszej turze najczęściej głosów uzyskał Rafał Trzaskowski - 267, następnie Karol Nawrocki - 69, Adrian Zandberg - 59, Sławomir Mentzen - 58, Magdalena Biejat - 50. W drugiej turze ważne głosy oddano w sposób następujący: na Rafała Trzaskowskiego - 668 osób, zaś na Karola Nawrockiego - 192.



ZDJĘCIA: MAŁGORZATA WOJCIEŚZIŃSKA, BARBARA GUTTMAN, ARCHIWUM PRYWATNE ORAZ INSTAGRAM RED.





Oj, czuje się, że wielkimi krokami zbliżają się wakacje i czas urlopów! Wystarczy spojrzeć na naszą ofertę czytelniczą, w której kilka artykułów to propozycje, jak spędzić czas wolny podczas wyjazdów do Polski, ale nie tylko. Na pierwszy ogień idzie... Titanic. Nie, to nie pomyłka, dobrze Państwo widzą! O Titanicu rozmawiam z Krzysztofem Mędraką, ambasadorem wystawy „Titanic” (str. 5). Wiedzą Państwo, że w naszej „okolicy” można obejrzeć aż trzy wystawy, których bohaterem jest ten legendarny statek? Gdzie? We Wrocławiu, Bratysławie i Rosenheim (Niemcy).

Dla tych, którzy chcą się cofnąć w czasie jeszcze bardziej, наша redakcyjna koleżanka przygotowała zwiedzanie zamku krzyżackiego w Polsce (str. 14) albo wizytę w słowackich Niżnych Tatrach, konkretnie w Kališti (str. 23). Dla podróżujących autobusami mamy dobrą wiadomość i artykuł na ten temat: autobus Smokowiec – Zakopane – Chochółów już kursuje (str. 24).

Również w „Rozmowach na temat sportowy” ciekawostki turystyczne, czyli obiekty sportowe, które zagrały w filmach (str. 26). Będąc w Polsce warto też spróbować przejażdżek transportem publicznym w stylu retro, o czym mowa w kolejnym odcinku „Retrohitów” (str. 28). A dla tych z Państwa, których interesują dalsze podróże, mamy drugi odcinek reportażu z Australii (str. 17).

O wakacyjnych planach mowa także w rubryce adresowanej do dzieci (str. 31). A w rubryce kulinarnej? Ten przepis zaprowadzi nas do Dubaju! Mowa oczywiście o dubajskiej czekoladzie, na punkcie której świat zwariował (str. 32).

Hitem na naszych łamach jest recenzja najnowszej książki Szczepana Twardocha pt. „Null” (str. 20). A jeśli już przy hitach jesteśmy... Dopytują Państwo o autora „Listów do W” (str. 30), które bardzo przypadły Państwu do gustu, co nas bardzo cieszy. Píše je Jerzy Bezecny, którego przedstawiałam w styczniowym numerze naszego pisma, i to on zdecydował, że wspomniane listy będzie podpisywał jako „Dziadek”, aby bardziej podkreślić ich autentyczność.

A na zakończenie – choć od tego zaczyna się czerwiec i czerwcowy numer „Monitora” – podajemy jak w wyborach na prezydenta RP głosowali Polacy w Bratysławie (str. 2), natomiast o tym, kto został prezydentem Polski przeczytają Państwo w naszej stałej rubryce „Z kraju”, przynoszącej wieści o tym, co wydarzyło się w ciągu miesiąca w Polsce (str. 4).

Dobrej lektury!

W imieniu redakcji

M. Wojcieszysko



ZDJĘCIE:
AGNIESZKA STEFAŃSKA

SPIS TREŚCI

Pierogi w kosmosie	4
Z KRAJU	4
WYWIAD MIESIĄCA	
Czego nas uczy Titanic?	5
Z NASZEGO PODWÓRKA	9
Śladami Świdrygiełty i Świętego Graala	14
SOS, CZYLI SYMPATYCZNIE O SŁOWACJI	
Trzy powody, by wierzyć w młodych Słowaków	16
Czy na końcu świata czekają kangury? Reportaż z Australii – cz. 2	17
CZUŁYM UCHEM	
Tembr życia	20
BLIŻEJ POLSKIEJ KSIĄŻKI	
„Null: Wojna bez odkupienia” Szczepana Twardocha	20
KINO-OKO	
„Światłoczuła” – wrażliwa opowieść	22
SŁOWACKIE PERŁKI	
Milczenie gór, głos historii	23
Autobus Smokovec – Zakopane – Chochółów już kursuje	24
PIEKNY 30-LATEK	
Gdy spotkają się artyści klub żyje plenerami i wystawami	25
ROZMOWY NA TEMAT SPORTOWY	
Obiekty sportowe, które zagrały w filmach – cz. 2	26
RETROHITY	
Przejażdżka w przeszłość	28
OGŁOSZENIA	27
ROZMOWY Z NINĄ	
Niech każdy wygląda, jak chce	29
LISTY DO W	
List szósty, czyli co można zobaczyć z wirsycka	30
MIEDZY NAMI DZIECIAKAMI	
Jak zaplanować wakacje marzeń?	31
PIEKARNIK	
Dubaj na talerzu – luksus bez biletu lotniczego	32

ZDJĘCIE NA OKŁADCE: STANO STEHLIK

ŚÉFREDAKTORKA: Małgorzata Wojcieszyska • REDAKCJA: Agata Bednarczyk, Łukasz Cupal, Andrej Ivanič, Alina Kabele, Alina Kietrys, Natalia Koniecz-Hamada, Ewa Sipos, Magdalena Zawistowska-Olszewska KOREŠPONDENTI: KOŠICE: Magdalena Smolińska • TRENČÍN: Aleksandra Krcheň JAZYKOVÁ ÚPRAVA V POLŠTINE: Maria Magdalena Nowakowska, Małgorzata Wojcieszyska • GRAFICKÁ ÚPRAVA: Stano Stehlik ZAKŁADAJÚCA ŚÉFREDAKTORKA: Danuta Meyza-Marušáková † (1995 - 1999) • VYDAVATEL: Poľský Klub • ADRESA: Nám SNP 27, 814 49 Bratislava IČO: 30 807 620 • KOREŠPONDENČNÁ ADRESA: Małgorzata Wojcieszyska, Senecká 162, 930 41 Kvetoslavov, monitorpoloniny@gmail.com BANKOVÉ SPOJENIE: Tatra banka č.ú.: SK60 1100 0000 0026 6604 0059 • EV542/08 • ISSN 1336-104X • Redakcia si vyhradzuje právo na redigovanie a skracovanie príspevkov • náklad 550 ks • nepredajné Realizované s finančnou podporou Fondu na podporu kultúry národnostných menšín „Projekt finansovaný ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu Polonia i Polacy za granicą 2025. Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im Jana Olszewskiego • Laureat Nagrody im Macieja Płażyńskiego w kategorii redakcja medium polonijnego 2013 • Wydané 4. 6. 2025



Ministerstwo
Spraw Zagranicznych



Fundacja
POMOC POLAKOM
NA WSCHODZIE
im. Jana Olszewskiego

Pierogi w kosmosie



Czy polskie pierogi już wkrótce znajdą się w kosmosie?

Brzmi jak żart, ale to dzieje się naprawdę. W kosmos leci misja Axiom Mission 4 (Ax-4), organizowana przez amerykańską firmę Axiom Space we współpracy z NASA. Jej start odbędzie się z legendarnych platform startowych LC-39A w Centrum Kosmicznym im. Kennedy'ego na Florydzie przy użyciu rakiety Falcon 9 i kapsuły Crew Dragon.

Wśród czterech astronautów, lecących na ISS w ramach misji Ax-4, znajduje się urodzony w Łodzi polski inżynier i naukowiec, doktor nauk technicznych, specjalista od niezawodności systemów pracujących w ekstremalnych warunkach dr inż. Sławosław Uznański-Wiśniewski.

Swoje doświadczenie zdobywał w CERN, gdzie odpowiadał za ciągłość pracy Wielkiego Zderzacza Hadronów. W 2022 r. dołączył do rezerwy astronautów Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA), rok później rozpoczął intensywne szkolenie jako astronauta projektowy, a już niebawem spełni swoje marzenie. „Urodziłem się 12 kwietnia w rocznicę lotu Gagarina. Kosmos zawsze był mi bliiski, ale dorastając w PRL-u, mogłem o nim tylko marzyć” – powiedział podczas pierwszej konferencji prasowej misji Axiom Mission 4 (Ax-4). Dziś już nie musi marzyć. Zostanie bowiem drugim Polakiem w kosmosie i pierwszym, który postawi stopę na pokładzie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej.

W ramach misji Ax-4 Uznański będzie odpowiedzialny za prowadzenie szeregu eksperymentów naukowych i technologicznych, realizowanych na rzecz ponad 30 krajów. Dla Polski będzie to nie tylko prestiżowe wydarzenie, ale też okazja do prezentacji dorobku krajowych instytutów badawczych i potencjału sektora kosmicznego. Będzie to też symboliczny powrót Polski w przestrzeń kosmiczną po 47 latach od lotu Miroława Hermaszewskiego.

Wśród towarzyszy 41-letniego Uznańskiego znajdują się: Peggy Whitson z USA – dowódczyni misji i doświadczona astronautka, Shubhanshu Shukla z Indii – pilot, weteran lotnictwa wojskowego, oraz Tibor Kapu z Węgier – specjalista od ochrony przed promieniowaniem.



W Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie został 29 kwietnia zaatakowany lekarz-ortopeda **TOMASZ SOLECKI**. Do gabinetu, w którym badał pacjentkę, wtargnął 35-letni mężczyzna i zaatakował go nożem. Mimo wysiłków lekarzy zmarł. Napastnikiem okazał się pacjent niezadowolony z przebiegu leczenia; był to funkcjonariusz Służby Więziennej.

nej. Prokuratura przedstawiła mu zarzuty zabójstwa lekarza i usiłowania naruszenia czynności narządów ciała pielęgniarki nożem. Sąd aresztował go na trzy miesiące.

Do kolejnej **WSTRZĄSAJĄCEJ ZBRODNI** doszło 7 maja na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie 22-letni student Wydziału Prawa zaatakował siekierą 53-letnią portierkę, która zamykała drzwi do Auditorium Maximum. Kobieta nie przeżyła ataku i zmarła na miejscu. Na pomoc kobiecie ruszył 39-letni pracownik Straży UW, któremu napastnik również zadał dotkliwe rany. W związku z tą tragedią 8 maja ogłoszono dniem żałoby na Uniwersytecie Warszawskim.

2 maja podczas obchodów **DNIA FLAGI RP** prezydent Andrzej Duda podkreślił, że pod białą-czerwoną flagą walczone w bitwie warszawskiej, a w powstaniu warszawskim białe-czerwone opaski były znakiem wojowników walczących o wolną, niepodległą Polskę. Dodał też, że białe-czerwone barwy stały się barwami flagi Solidarności i pod tymi barwami śpiewamy polski hymn.

2 maja to też **DZIEŃ POLONII** i Polaków za Granicą. Tego dnia prezydent Andrzej Duda z małżonką spotkali się w Belwederze z rodakami mieszkającymi poza granicami kraju. Podczas uroczystości prezydent wręczył odznaczenia działaczom polonijnym, akty

nadania obywatelstwa polskiego oraz flagi państwowej organizacjom zastrzyżonym w działalności społecznej, kulturalnej i gospodarczej w kraju i za granicą.

3 maja podczas uroczystych obchodów **ŚWIĘTA KONSTYTUCJI 3 MAJA** na placu Zamkowym prezydent Andrzej Duda zwrócił uwagę, że jego następca będzie głową państwa, ale też zwierzchnikiem Sił Zbrojnych. „To jego wielka odpowiedzialność, aby umacniać bezpieczeństwo RP” – podkreślił. Tego dnia podczas uroczystości na Zamku Królewskim w Warszawie prezydent odznaczył Orderem Orła Białego Janusza Kapustę - rysownika, malarza i scenografa, oraz

Nasz rodak na pokład Międzynarodowej Stacji Kosmicznej zabierze ze sobą białą-czerwoną naszywkę z napisem „Polska”, którą w 1978 r. miał na swoim kombinezonie Mirosław Hermaszewski, a także... pierogi, bo jeśli odkrywać wszechświat, to z dumą, technologią i odrobiną domowego smaku.

Misja, którą zaplanowano na 9 czerwca 2025 r., potrwa od dwóch do trzech tygodni i będzie jedną z najbardziej intensywnych naukowo ekspedycji w historii Axiom Space. Być może właśnie teraz, gdy czytają Państwo to wydanie „Monitora”, gdzieś tam 400 km nad powierzchnią naszej planety Sławosz Uznański-Wiśniewski spełnia swoje największe marzenie. Reprezentuje nas wszystkich, bo jak sam powiedział, podczas misji nie występuje wyłącznie we własnym imieniu, lecz w imieniu Polski i całego pokolenia Polaków: naukowców, nauczycieli, studentów, a nawet dzieci, które – tak jak kiedyś on – marzą, by sięgnąć gwiazd.

I właśnie dlatego ta misja to coś więcej niż tylko podróż na ISS, to dowód na to, że marzenia się spełniają. To także sygnał, że Polska wraca do gry nie jako obserwator, lecz jako pełnoprawny uczestnik globalnej eksploracji kosmosu.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Jerzego Kropiwnickiego - działacza opozycji demokratycznej w PRL.

16 maja zmarła **JADWIGA RAPPÉ**, jedna z najwybitniejszych śpiewaczek oratoryjno-kantatowych. Artystka współpracowała z wieloma kompozytorami, solistami i dyrygentami i nagrała blisko 60 płyt z najrozmaitszym repertuarem

18 maja zmarł **BOGUSŁAW NIZIEŃSKI**, były sędzia Sądu Najwyższego, pierwszy rzecznik interesu publicznego, opozycjonista z lat PRL oraz żołnierz Armii Krajowej i Narodowej Organizacji Wojskowej. W 2008 r. został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Orderem Orła Białego. W wybo-

rach prezydenckich w 2025 r. wszedł w skład komitetu wspierającego kandydaturę Karola Nawrockiego.

18 maja w Polsce odbyła się **PIERWSZA TURA WYBORÓW** prezydenckich. Najwięcej głosów otrzymali kandydat KO Rafał Trzaskowski (31,36%) i popierany przez PiS Karol Nawrocki (29,54%). Frekwencja wyniosła 67,31% Wyniki pozostałych kandydatów: Sławomir Mentzen (Konfederacja) - 14,81%, Grzegorz Braun - 6,34%, Szymon Hołownia (Trzecia Droga) - 4,99 Adrian Zandberg (Razem) - 4,86%, Magdalena Biejat (Lewica) - 4,23% Na dalszych miejscach znaleźli się: Krzysztof Stanowski -

1,24%, Joanna Senyszyn - 1,09%, Marek Jakubiak - 0,77%, Artur Barczewicz - 0,49%, Maciej Maciak - 0,19%, Marek Woch - 0,09%.

25 maja, przed zaplanowaną na 1 czerwca drugą turą wyborów ulicami Warszawy przeszły **DWA MARSZE**, zorganizowane przez sztaby kandydatów na prezydenta: Rafała Trzaskowskiego (KO) oraz popieranego przez PiS Karola Nawrockiego. W „Wielkim Marszu dla Pokoju” zwolennicy Trzaskowskiego przeszli z pl. Bankowego na pl. Konstytucji. „Wielki Marsz Patriotów” przeszedł z ronda de Gaulle’a na pl. Zamkowy. Trzaskowski apelował podczas marszu: „Najwyższy czas, żeby wygrała

uczciwość, prawość, sprawiedliwość, prawda. O tym są te wybory”. Nawrocki podkreślał: „Zwyciężymy! Idziemy po zwycięstwo, nadchodzi Polska ambitna, bezpieczna, odpowiedzialna społecznie”.

1 czerwca II turę **WYBORÓW PREZYDENCKICH** wygrał kandydat popierany przez PiS Karol Nawrocki uzyskując 50,89 proc. głosów: kandydat KO Rafał Trzaskowski otrzymał 49,11 proc. poparcia. Frekwencja wyniosła 71,63 proc. - po data 2 czerwca rano PKW Według PKW Nawrockiego poparło 10 mln 606 tys. 872 wyborców, Trzaskowskiego 10 mln 237 tys. 286 głosujących.

Czego uczy nas *Titanic*?

WYWIAD
MISJĄ

Dlaczego na Titaniku było zbyt mało łodzi ratunkowych? Jakie famy krążą na temat statku? Które z historii pasażerów są najbardziej przejmujące? Czy na Titaniku byli Polacy? Czym się różni bratysławska wystawa „Titanic” od tej, prezentowanej we Wrocławiu? Na te i wiele innych pytań odpowiada Krzysztof Mędrala, ambasador wystawy „Titanic”, który - nawiązując do mającej 90 m wysokości Iglicy sprzed wrocławskiej Hali Stulecia - tak zaczyna swoją opowieść o tragedii słynnego statku: „Trzy takie iglice to długość Titanica!”.

Czemu służy bryla lodowa, którą znajdziemy tak na wrocławskiej, jak i bratysławskiej wystawie?

To jest interaktywna instalacja, dzięki której możemy odczuć temperaturę wody, w której znalazło się około 1500 pasażerów, którzy nie znaleźli miejsc w łodziach ratunkowych. To bardzo trudny element historii. Utrzymanie przez kilkanaście sekund dłoni na powierzchni bryły jest prawie niemożliwe. Ludzie, którzy trafili do wody w kamizelkach ratunkowych, zmarli z wyziębienia.



ZDJĘCIE: ARCHIWUM

Kamizelki ratunkowe ich nie uratowały. Woda miała minus dwa stopnie Celsjusza, a trzeba pamiętać, że słona woda zamarza w temperaturze poniżej zera. W takiej wodzie człowiek najczęściej umiera w ciągu kilku, kilkunastu minut. Było to także bardzo trudne i przykre przeżycie dla tych, którzy z oddali, z łodzi ratunkowych obserwowali śmierć swoich bliskich, wiedząc, że nic nie mogą zrobić.

Czy to prawda, że ofiar mogło być mniej, gdyby na statku znajdowała się odpowiednia liczba łodzi ratunkowych?

Statek spełniał wymagania prawne – przestarzałe, XIX-wieczne – które mówiły o tym, że liczba szalup zależy nie od liczby pasażerów, ale od tonażu statku. Katastrofa Titanica zmieniła te przepisy i spowodowała, że dzisiaj jesteśmy na morzu bezpieczniejsi.

Jak powstał Titanic?

Statek był odpowiedzią na działania konkurencji. Linia Cunard w latach 1906-1907 wybudowała dwa wspaniałe transatlantyki: Mauretanie i Lusitanie. Pokonywały one ocean bardzo szybko, a ich rekordy nie było można pobić aż do 1929 roku. White Star Line musiało zatem odpowiedzieć w jakiś sposób na działania konkurencji. Pojawił się pomysł wybudowania także dwóch wspaniałych wielkich czterokominowców, a w przyszłości także trzeciego. Pierwszym był Olympic, drugim Titanic, a trzecim miał być Britannic. Ponieważ wiadomo było, że White Star Line nie wybuduje statków szybszych, postawiono na luksus i wielkość. Niektórzy pasażerowie podróżowali w kabinach urządzonych w stylach historycznych, spożywali posiłki w najwykwintniejszej restauracji na morzu, więc coś z tego, że rejs trwał trochę dłużej, skoro odbywał się w tak niezwykle komfortowych warunkach!

Która z historii pasażerów wzrusza Pana najbardziej?

Tych historii jest wiele, ale dla mnie najbardziej wzruszająca jest historia państwa Straus. Starszy człowiek, multimilioner, właściciel domu handlowego Macy's w Nowym Jorku

podróżował Titanikiem razem ze swoją żoną Idą. Było to małżeństwo z długim stażem, bardzo się kochające, zgodne, szczęśliwe. Kiedy okazało się, że Ida otrzymała miejsce w szalupie ratunkowej, a jej mąż Izidor nie, ponieważ był mężczyzną, ona nie skorzystała z możliwości ocalenia siebie i pozostała z nim na pokładzie, ponieważ tak bardzo go kochała. Według relacji pasażerów ta para była widziana po raz ostatni na pokładzie space-rowym, na ławeczce, kiedy to mocno przytulali się do siebie. Ciało Idy nigdy nie odnaleziono, ciało pana Strausa – tak. To jest jedna z takich bardzo wymownych, wzruszających historii.

Czy Titanikiem podróżowali także Polacy?

Kiedy mówimy o Polakach na Titaniku, to musimy sobie przypomnieć, jak wyglądał rok 1912 w historii. Ziemie polskie były wówczas podzielone między trzech zaborców. Państwo polskie nie istniało, zaś deklaracja o przynależności narodowej była czasami osobistą decyzją pasażera. Nie było paszportów, nie było dowodów osobistych tego typu, którymi się legitymujemy, podróżując obecnie. Na statku były osoby, które urodziły się na polskich ziemiach, ale które nie deklarowały się jako Polacy. Jedną z pasażerek – Leah Aks – urodziła się w Warszawie. Ta pani podróżowała na pokładzie Titanica z dzieciściomiesięcznym synkiem Frankiem Philipem. Płynęli do Stanów Zjednoczonych, gdzie czekał na nich jej mąż, by tam mogli razem rozpocząć nowe życie. Kiedy ewakuowano statek, Leah Aks dostała miejsce w łodzi ratunkowej i w tym całym harmiderze, hałasie, żeby wejść do łodzi, musiała na moment oddać dziecko komuś na pokładzie. Kiedy weszła do szalupy, odwróciła się, dziecka nie było! A łódź natychmiast opuszczono w dół. Proszę sobie wyobrazić, jak mogła się czuć kobieta, która w takich okolicznościach straciła z pola widzenia swoje ukochane dziecko! Wiele godzin później, kiedy statek Carpathia

***Kiedy weszła do szalupy,
odwróciła się,
dziecka nie było!***

podjął rozbitków z Titanica, Leah Aks weszła na jej pokład, rozpaczliwie szukając swojego dziecka. I szczęśliwie odnalazła je, ale w ramionach innej kobiety, która nie chciała go oddać. Zawołano oficera, by rozstrzygnął spór. Matka wskazała charakterystyczne znamię na klatce piersiowej, które miała jej pociecha. Sprawdzone i okazało się, że dziecko to znamię miało. W ten oto sposób mały Frank wrócił w ramiona swojej mamy!

Jego potomkowie poszukują więzi z Polską?

Prawnuczka Franka Aksa, pani Shelley Binder mieszka w Stanach Zjednoczonych i jest profesorem fletu. I chociaż nigdy nie była w Polsce, to ma jednak przekonanie o polskich korzeniach, chociaż Leah deklarowała się jako Żydówka.

Jakie famy krążą na temat tego statku?

Słyszałem różne historie, bo każdy kraj lubi prezentować jakieś swoje związki z Titanikiem. Na przykład kiedyś mówiono o Polaku, który nazywał się Grudzik. Ponoć ratował się z Titanica przebrany za kobietę. Jednak nigdy takiej osoby nie było. Niektórzy twierdzą, że na Titaniku były używane szwajcarskie srebrne platerki – to nieprawda. Inni mówili o porcelanie z Austrii – nawet sam widziałem takie okazy z sygnaturą Titanica, ale nie mają one nic wspólnego z prawdziwym Titanikiem.

Na wystawie we Wrocławiu możemy podziwiać prawdziwe drzwi z Titanica. Jaka jest ich historia?

To wyjątkowe drzwi, przez które w Southampton na pokład statku weszło wielu pasażerów klasy pierwszej. W trakcie ewakuacji drugi oficer kazał je otworzyć, aby ułatwić im wsiadanie do łodzi ratunkowych z niższego pokładu. Niestety nikt już nie opuścił statku przez te otwarte drzwi. Kiedy w 1985 r. odkryto wrak Titanica, okazało się, że one nadal są otwarte. Wkrótce potem odpadły od kadłuba i zostały podniesione w trakcie jednej z ekspedycji wydobywczych. Teraz są na wrocławskiej wystawie. To jeden z najcenniejszych eksponatów, ważący

półtorej tony, i jeden z największych eksponatów tego typu. Bardzo wyjątkowy!

Jak został przywieziony z Ameryki do Europy?

Eksponaty są transportowane samolotem. Nie płyną na żadnym statku. To spore przedsięwzięcie taki eksponat tutaj umieścić. Pracuje nad tym duży zespół ludzi, konserwatorów, by wszystko odbyło się w bezpieczny sposób. Każdy eksponat jest traktowany inaczej, w zależności od tego, z jakiego materiału został wykonany. Każdy z nich ma tutaj swoją osobną historię.

Czym się różni wystawa „Titanic” w Bratysławie od tej we Wrocławiu?

Wystawy są podobne, autoryzowane przez tę samą instytucję i opowiadają historię Titanica za pomocą przedmiotów wydobytych z jego wraku. Natomiast dobór eksponatów pokazywanych we Wrocławiu i w Bratysławie jest nieco inny. We Wrocławiu mamy artefakty, które nie podróżują zbyt często, w tym cherubina ze słynnych Wielkich Schodów czy wspomniane drzwi wejściowe na statek. Ponadto eksponatów jest nieco mniej, ale robią większe wrażenie. W Bratysławie natomiast znalazło się 50 dodatkowych przedmiotów z mojej kolekcji, które tam wypożyczyłem.

To jest moja wielka pasja, która nie ma końca.

Skąd Pańskie zainteresowanie Titanikiem i co to za tytuł „ambasador wystawy Titanic”?

Moja pasja trwa już 27 lat. Polega na zgłębianiu historii statku i przedmiotów użytkowych, które się na nim znajdowały. Dziś tą pasją mogę się dzielić z innymi, występując w dwóch rolach, będąc jej ambasadorem oraz – czasem – przewodnikiem. Jako ambasador reprezentuję wystawę i wspieram najlepiej jak potrafię, ponieważ uważam, że stanowi ona bardzo wartościowy projekt o charakterze edukacyjnym. To jest jedna z najbardziej znamienitych kolekcji świata, więc bardzo się cieszę, że można ją zobaczyć w moim rodzinnym Wrocławiu.

Jak do tego doszło, że jest Pan w posiadaniu przedmiotów z legendarnego statku?

Musimy tu rozgraniczyć kolekcję artefaktów z Titanica, którymi opiekuje się specjalnie do tego powołana instytucja amerykańska. Ten zbiór, pochodzący z wraku, jest chroniony prawem. Natomiast eksponaty, którymi wsparłem wystawę w Bratysławie, z moich prywatnych zbiorów, to przedmioty z tej samej serii – ta sama porcelana, te same sztuczce, te same

srebrne patery czy boazerie ściennie, ale pochodzące z siostrzanych statków. Są one identyczne z tymi, które były na Titanicu, ale nie ucierpiały przez katastrofę.

Jak Pan się stał posiadaczem tych zbiorów?

To jest moja wielka pasja, która nie ma końca. Jest jak gonienie króliczka, którego nigdy się nie złapie, bo żaden kolekcjoner nie może mieć wszystkiego, o czym marzy. Wszystko zaczęło się kilkanaście lat temu od jednej filiżanki, która była moim marzeniem. Wtedy myślałem, że na tym się skończy. Ale potem zrozumiałem, że do tej filiżanki brakuje spodka, łyżeczki i tak w sposób zupełnie nieświadomy i nieintencjonalny zbudowałem w ciągu kilkunastu lat zbiór, który jest uważany za jedną z największych kolekcji prywatnych przedmiotów White Star Line w Europie.

Zdradzi Pan, ile kosztowała pierwsza filiżanka?

Próbuję sobie przypomnieć – myślę, że to było ok. 200 funtów. Znam rynek tych przedmiotów dość dobrze. Mam dobrą orientację w wartości eksponatów, w sposobie ich znajdowania a czasem przekazywania kolejnym właścicielom. Staram się moją pasję prowadzić w sposób mądry, również pod względem finansowym.

Wrocławski przystanek wystawy jest jej ostatnim w Polsce?

Wystawa przyjechała do Wrocławia z Warszawy i obecnie jest jej ostatnim przystankiem w Polsce, przed wyjazdem za granicę kraju.

Rolą ambasadora jest także zwiedzanie wystaw?

Jestem ambasadorem wystawy w Polsce, ale rzeczywiście chętnie podróżuję, także za granicę. Ambasadorem jestem po raz drugi – tę zaszczytną funkcję pełniłem również w 2018 r., gdy wystawa była pokazywana w Krakowie. Jestem wielkim pasjonatem historii Titanica i lubię zwiedzać wystawy jemu poświęcone, ale oczywiście nie jest to żadnym moim obowiązkiem.



ZDJĘCIE: STANO STEHLIK

Można by o nim mówić choćby na wykładach z marketingu.

Ciesz się mnie to, że także od wielu lat mogę niektóre wystawy współtworzyć, a kiedy moje eksponaty są wypożyczone, podróżuję razem z nimi i dzielę się swoją pasją ze zwiedzającymi. Pasja zawsze powinna być wyborem serca i tak jest w moim przypadku.

Pañskie życie kręci się wokół tego legendarnego statku?

Pasja to taka sfera życia, do której sięgamy wtedy, kiedy mamy ochotę. Tak jak artysta, który maluje obraz wtedy, kiedy ma wenę. Ja także muszę mieć wenę, by zajmować się Titanikiem. Kiedy jej nie mam, mogę pójść pograć w tenisa czy pojeździć na rowerze. Zawodowo pracuję w finansach, mam wykształcenie w dziedzinie dalekiej od sztuki, więc te dwa bardzo różne obszary tworzą mój balans w życiu, dzięki czemu łapię różnorodność, by czuć się szczęśliwym.

Na której wystawie spotkamy się ponownie?

Wystawy, które współtworzę poprzez wypożyczenie wielu eksponatów, odbywają się obecnie w Bra-

tysławie na Słowacji i Rosenheim w Niemczech. W Rosenheim zobaczycie Państwo wyjątkową wystawę, która nie podróżuje i dostępna będzie do stycznia 2026 r. 300 eksponatów tam wystawianych pochodzi z prywatnych zbiorów kolekcjonerów z całego świata. Moich jest tam ok. 70. To bardzo pieczołowicie przygotowywany projekt, nad którym wraz z innymi osobami pracowaliśmy przez rok.

Dlaczego wciąż fascynujemy się Titanikiem?

To dobre pytanie. Odkładając na bok wszystkie emocje, trzeba zauważyć, że Titanic to fenomen. Można by o nim mówić choćby na wykładach z marketingu, zatytułowanych np. „Titanic jako marka z ponadstuletnią tradycją”. Jestem przekonany, że każda osoba przypadkiem zaczepiona na ulicy, nawet 10-letnie dziecko, wie, co to jest Titanic – statek, który zatonął. I to wystarczy. Titanic świat fascynował, fascynuje i będzie fascynował. Dlaczego? Myślę, że wiele czynników na to wpłynęło. To był nowy, najbardziej luksusowy statek i płynął w swój pierwszy rejs. Pisały o nim gazety. Na jego pokładzie znajdowali się znani na całym świecie ludzie, co znacznie urozmaica jego historię o osobiste wątki tych różnych znanych postaci.

Tym statkiem płynęły również setki imigrantów w poszukiwaniu szczęścia za oceanem. Uważa się też, że zatonięcie Titanica to koniec pewnej epoki. Niektórzy twierdzą, że to koniec epoki edwardiańskiej, chociaż król Edward zmarł w 1910 r., czyli dwa lata przed Titanikiem. A jednak to zatonięcie Titanica kończy ten czas niezwykle wytwornych obyczajów, etykiety, strojów, podziałów klasowych, również pewien okres w muzyce. Wkrótce potem wybuchła pierwsza wojna światowa, więc obyczaje w naturalny sposób stały się prostsze, a ludzie przewartościowali to, co dla nich ważne. Do tych samych okopów trafili właściciele rezydencji i ich służący. Wkrótce potem, w latach 20., pojawiają się krótkie sukienki, jazz. Rok 1912 minął, ale wraca do nas na wystawie.

Otwieramy puszkę zamkniętą 113 lat temu.

Co jest największym atutem wystawy „Titanic”?

To, że otwieramy puszkę zamkniętą 113 lat temu, oglądamy przedmioty, które były bliskie ludziom wtedy żyjącym. Oglądamy przedmioty osobiste, przedmioty związane z konstrukcją statku i jego wyposażeniem. To wymowna dla mnie historia, bo proszę sobie wyobrazić, jaka to była niesamowita myśl techniczna! Takie statki projektowano ręcznie, w kreslarniach, bez komputerów, bez Internetu. Finalnie, wybudowano trzy identyczne statki: Olympic, Titanic, Britannic. Najgłośniej mówiono o Olympicu, bo był pierwszym ze słynnego tria. Dwa kolejne zatonięły: Titanic w trakcie pierwszego rejsu, Britannic w czasie I wojny światowej. I tylko dlatego, że statki te zatonięły, a na dnie mórz spoczęły ich wraki, my możemy się uczyć o ich historii. Olympic pływał szczęśliwie przez 24 lata. Został zezłomowany w 1935 r. Choć już nie istnieje, to jego młodszy o rok brat Titanic uczy nas do dzisiaj. To też świadczy o wyjątkowości jego historii.

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA, Wrocław



ZDJĘCIE: ARCHIWUM

Wystawa we Wrocławiu będzie dostępna do końca lipca, w Bratysławie - do 24 sierpnia 2025 roku



ZDJĘCIA: MAGDALENA SMOLIŃSKA

Koszycy świętują



Z NASZEGO
PODWÓRKA

Nasze relacje z Konradem Schönfeldem, konsulem honorowym RP w Koszycach, który od lat wspiera działania Klubu Polskiego, są wyjątkowe. Zawsze możemy liczyć na jego pomoc i zaangażowanie. Razem podejmujemy liczne inicjatywy kulturalne, mające na celu promowanie dobrego imienia naszego kraju.

I tak – miejmy nadzieję – będzie dalej, bowiem 14 maja 2025 r., podczas oficjalnego spotkania w siedzibie Konsulatu Honorowego przy ul. Pułkinowej w Koszycach, mieliśmy zaszczyt uczestniczyć w uroczystej ceremonii przekazania mu nominacji konsularnej na kolejne pięć lat.

Dekret, podpisany przez Ministra Spraw Zagranicznych RP Radosława Sikorskiego, przekazał nominatowi osobiście nasz chargé d'affaires a.i. Piotr Samerek.

Konsulat Honorowy w Koszycach, działający nieprzerwanie od października 2020 r., od samego początku wspiera Polaków oraz umacnia więzi między Polską a Słowacją. My jesteśmy częścią tej wspaniałej inicjatywy, dlatego kolejna nominacja Konrada Schönfelda na konsula honorowego jest dla nas powodem do dumy.

Drogi Panie Konsulu, Przyjacielu Konradzie, życzymy Ci dalszych sukcesów, satysfakcji oraz tego, by nadchodząca kadencja konsularna była równie udana, a nawet lepsza jak poprzednia!

MAGDALENA SMOLIŃSKA



Rozumiemy się?

Język słowacki i czeski – podobieństwa i różnice

Pod koniec kwietnia w Instytucie Słowackim w Warszawie odbył się wykład dr Anny Gálisovej pt. „Rozumiemy się? Język słowacki i czeski – podobieństwa i różnice”.

Wykładowczyni języka słowackiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie we wstępnej części wykładu skupiła się na historycznym i społecznym kontekście rozwoju obu języków.



ZDJĘCIA: ARCHIWUM INSTYTUTU SŁOWACKIEGO

Po wskazaniu podobieństw i różnic między słowackim i czeskim, z naciskiem na okres wspólnego państwa w XX wieku, omówiła obecne gramatyczne, ortograficzne i fonetyczne podobieństwa i różnice między dwoma językami, uzupełniając je ciekawymi przykładami z filmów, literatury, muzyki i reklamy.

Wykład w galerii Instytutu niezwykle zaciekał licznie zgromadzoną warszawską publiczność, czego dowodem była również blisko godzinna dyskusja, która się po nim wywiązała.

I.S.



Takie hasło przyświecało majowej lekcji w Polskim Przedszkolu w Żylinie. W maju obchodzimy dwa ważne święta następujące po sobie: 2 maja - Dzień Polonii i Polaków za Granicą i 3 maja - Święto Narodowe Trzeciego Maja.



Zwykle oba święta wchodziły w skład długiego majowego weekendu, czyli ma-



jówki, a to ostatnie słowo bardzo przypadło do gustu dzieciom z polsko-słowackich rodzin mieszanych.

Nowego słownictwa było znacznie więcej, ponieważ dzieci uczyły się nazw państw i kontynentów w języku polskim. Podczas zajęć poznały wiele ciekawych faktów na temat wybranych krajów Unii Europejskiej i jej symboli. Wiedzę tę mogły sobie utrwalić podczas



specjalnej gry, polegającej na rozpoznawaniu flag państw i przypisywaniu im odpowiednich nazw krajów w języku słowackim i polskim. W drugiej części zajęć dzieci miały niepowtarzalną okazję obejrzenia kolekcji starych polskich monet i banknotów z okresu powojennego aż do 1989 r.

Ale to nie wszystko – obejrzały też kolekcję mo-



net o wartości 2 euro, wprowadzonych do obiegu przez państwa Unii Europejskiej. Najwięcej zabawy przyniosł jednak frotaż monet, czyli odbijanie ich przez papier.

Co dodać? Nie ma nic piękniejszego niż widok młodego, szczęśliwego pokolenia, trzymającego polską flagę i uświadamiającego sobie, jak pięknie jest być Polakiem na Słowacji.

RED.

Wyjątkowa sztafeta



W pierwszą sobotę maja uczniowie już od rana z niecierpliwością czekali na to, co się będzie dziać w Szkole Polskiej im. Jana Pawła II przy Ambasadzie RP w Bratysławie. Na ten dzień zaplanowano bowiem wyjątkowe wydarzenie.

Z okazji obchodów Święta Narodowego Trzeciego Maja, Dnia Flagi Rzeczypospolitej Polskiej, Dnia Polonii i Polaków za Granicą, a w tym roku również wyjątkowo prezydencji Polski w Radzie Unii Europejskiej, zorganizowano sztafetę

na dystansie 1791, nawiązując w ten sposób do roku uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Do biegu zgłosili się tak uczniowie, jak i ich rodzice.

W szkole można było wyczuć lekką ekscytację. Zanim jednak szkolna sztafeta wystartowała, jej uczestników czekała solidna rozgrzewka, którą poprowadził w duchu prawdziwie sportowym dyrektor Krzysztof Gruca, zaś o bezpieczeństwo dzieci zadbały nauczycielki: Bożena Miczek-Majka i Marzanna Danek-Hnelozub.

Nauka przez zabawę

w Klubie Małego Polaka

W maju w Klubie Małego Polaka odbyły się zaledwie dwa spotkania, za to jakie! Pierwsze – poświęcone pięknym polskim świętom majowym: Świętu Narodowemu Trzeciego Maja, Dniu Flagi Rzeczypospolitej Polskiej i Dniu Polonii i Polaków za Granicą – a drugie – ukochanym mamom i ukochanym tatom.



Podczas tego pierwszego maluchy rozmawiały o Polsce i polskich symbolach, tańczyły krakowiaka z białoczerwonymi wstęgami i słuchały szumu bałtyckich fal i pisków mew. Okazało się, że z symbolami narodowymi wcale nie jest taka prosta sprawa, bo czym w ogóle są flaga i godło? Jak wytłumaczyć dzieciom, do czego są nam potrzebne? Na szczęście nawet najmłodsi klubowicze rozpoznają



już białoczerwone kolory i kojarzą białego orła. A że nie rozumieją, co one oznaczają, nie szkodzi. Na wszystko przyjdzie właściwa pora, a póki co wystarczy, że dzieci mają styczność z polską symboliką.

Na drugim spotkaniu dzieci przygotowały specjalną wideo niespodziankę dla swoich rodziców. W ubiegłym roku klubowiczom udało się przygotować akademię z okazji Dnia Mamy i Dnia Taty. W tym roku zabrakło czasu na przygotowanie występu na żywo, ale filmik, przedstawiający deklamujące dzieci, na pewno też ucieszy ich rodziców.



ZDJĘCIA: NATALIA KONICZ-HAMADA, MAGDALENA MATOGA, SILVIA BÍZIKOVÁ

A co sprawiło największą radość samym klubowiczom? Oczywiście możliwość wyjścia w ramach zajęć na szkolne boisko i liczne zabawy podwórkowe. Nie zabrakło przejażdżki pociągiem po Polsce, wykonywania z własnych ciał pomników zasłużonych polskich postaci, tańców do piosenki „Płynie Wisła, płynie” i malowania esów-floresów za pomocą kolorowej kredy. Bo w tym wieku Polskę najlepiej poznawać właśnie przez zabawę!

NKH

W ramach biegu właściwego, każdy z zawodników dwukrotnie okrążył szkolne boisko. I pewnie zrobiłby to również trzeci raz, gdyby nie to, że w budynku szkoły czekał na sportowców słodki poczęstunek – pyszne ciastka, słodkie owoce i krzepiące napoje.

Mało tego – wszyscy uczestnicy biegu otrzymali pamiątkowe dyplomy. Były też uśmiechy, wspólne zdjęcia i poczucie dumy z bycia częścią tej wyjątkowej społeczności. Wszyscy zgodnie zapewniali, że to wydarzenie na długo pozostanie

w ich pamięci i z niecierpliwością czekają na kolejny bieg, który odbędzie się w przyszłym roku.

Relację filmową z wydarzenia nakręcił ks. Krystian Piotrowski. Dzięki temu również nieobecni tego dnia w szkole mogą poczuć radość i satysfakcję, które towarzyszyły uczestnikom Drugiego Biegu Konstytucji 3 Maja. Jeśli szanowni czytelnicy „Monitora Polonijnego” są także ciekawi tego wydarzenia, to odsyłamy na stronę www.polenia.sk, gdzie można obejrzeć relację z niego.

RED.



ZDJĘCIA: ARCHIWUM SZKOŁY



Gdyby ktoś w ostatni majowy weekend przypadkiem znalazł się w okolicach Koćwec, mógłby pomyśleć, że trafił na piknik w sercu Polski. Bo jak inaczej wytłumaczyć widok dzieci, ścigających się do dmuchanego zamku z okrzykiem: „Mamaaa, jeszcze raz!”, zapach świeżego chleba ze smalcem i ogórków małosolnych, biało-czerwone flagi oraz radosne polskie rozmowy dobiegające z każdej strony?



Dzieci brały udział w sportowych zabawach na trawie, panie w cieniu rozłożystego drzewa wyrabiały biżuterię z koralików, w parku strzelano z łuku, z marchwi tworzone fujarki, a gdzieś w kolejce po watę cukrową rodziły się nowe znajomości. To nie żart, to Zielone Świątki w ośrodku Słowackiego Instytutu Technicznego w Koćwecach, które w tym roku odbyły się w dniach 30 maja – 1 czerwca. Wydarzenie to przeszło już do historii jako jedno z najbardziej rodzinnych,



wzruszających i zabawnych spotkań Polonii na Słowacji. Co roku z tej okazji zjeżdżają się Polacy z różnych stron Słowacji, przyjeżdżają też i z Polski, z odległego Wrocławia, gdyż jest to doskonała okazja do wspólnego spędzenia czasu, integracji, nawiązywania nowych znajomości oraz odpoczynku w pięknym otoczeniu.

Już na początku atmosfera była gorąca i to nie tylko z powodu pogody. Po radosnych przywitaniach oraz wieczornym spotkaniu integracyjnym przy miłych dla ucha dźwiękach gitary (Tomek Olszewski), fletu (Stano Stehlik) i fujary (Zenon Kuraś) wszyscy wiedzieli, że

zapowiada się weekend pełen atrakcji.

Sobotni poranek rozpoczął się z przystupem. Maluchy rzuciły się w wir zabawy. Malowaniem twarzy dzieci zajęła się Andrea Creatura Jacková, sprawiając, że za dotknięciem jej pędzelka zamieniały się one w tygryski, elfy i postacie z bajek. Warsztaty „Skarby z drutu i koralików” poprowadziła nasza rodaczka, od wielu lat mieszkająca na Słowacji, Magdalena Jančura, której wystawę niedawno zorganizował Klub Polski Bratisława w Instytucie Polskim. Z kolei jej syn Rastio, z pasją dzielił się z rówieśnikami sztuką origami, ucząc ich



tworzenia niezwykłych form z papieru. To jednak nie wszystko, pochodzący z Mielca Zenon Kuraś, fujarzysta



i artysta, który od ponad 30 lat mieszka w Levicach na Słowacji, w ramach warsztatu artystycznego pod hasłem „Fujarka, fujarka, fujarczka” pokazał, jak zrobić własną fujarkę oraz zdradził tajniki budowy tego słowackiego instrumentu.

W programie znalazły się również zajęcia sportowe, które poprowadzili Tibor Guttman, Ivo Zima i Krzysztof Gruca, a także gra terenowa „Zwierzęca Brygada”, przygotowana przez dyrektora Polskiej Szkoły przy



Ambasadzie RP w Bratysławie. Wydarzenia te były częścią zielonej szkoły, w której uczestniczyli uczniowie tej placówki. A skoro już mowa o grze terenowej, nie mogło zabraknąć popularnego geocachingu, który przygotował Tomek Olszewski. Dzieciaki biegały po parku otaczającym dworek w Kočovcach z takim zapałem, jakby naprawdę szukały ukrytego skarbu. A kto wie, może faktycznie coś znalazły?

Ciekawą propozycją nie tylko dla najmłodszych, ale i dla dorosłych okazały się warsztaty plastyczne, prowadzone przez Anię Skowron-Belko i Edytę Mikušową. W ich ramach uczestnicy tworzyli bajkowe kamienie, które zachwycaly kolorami i pomysłowością.



Ale największymi tegorocznymi atrakcjami były wata cukrowa, którą kręcił Tomek Olszewski, oraz dmuchane zamki, przy których śmiechem nie było końca. Dzięki Tomkowi Olszewskiemu dzieci przez cały dzień mogły oglądać ciekawe bajki i filmiki edukacyjne, a kibice piłki nożnej finał Ligi Mistrzów.



Jak co roku wspólne zdjęcie wykonał Stano Stehlik, tym razem z biało-czerwonymi flagami i... bańkami mydlanymi, które unosiły się nad głowami dzieci niczym kolorowe marzenia: lekkie, radosne i zupełnie nie do złapania. Dzieci z okazji ich święta otrzymały upominki, ufundowane przez konsula RP w RS Artura Łukiańczuka, który do Kočoviec przybył wraz z rodziną.

Wieczorem nadszedł czas na tradycyjną tombolę, od lat cieszącą się ogromną po-

pularnością i przez wielu uznawaną za największą atrakcję spotkań w Kočovcach. Jak zawsze nie zabrakło emocji, śmiechu i dobrej zabawy, a prowadzącą ją Alicja Zima zadbała o to, by nagrody były jeszcze ciekawsze niż rok wcześniej. Wieczór zakończył się dyskoteką, podczas której nogi same rwały się do tańca, gdyż za dobór muzyki odpowiadał Piotr Starosielec. W niedzielę nadszedł czas pożegnań. Dzieci planowały kolejne spotkania, dorośli wymieniali się kontaktami, a wszyscy robili mentalne notatki: wracamy za rok! I nawet już wiemy, kiedy dokładnie: 5 – 7 czerwca 2026 r.

Bo spotkanie w Kočovcach to polonijna fiesta z pompą, sercem i humorem, a takich spotkań się nie zapomina. One zostają z człowiekiem na dłużej. Ta cykliczna impreza po raz kolejny pokazała, że Polska to nie tylko granice. To ludzie, śmiech, tombola, chlebek ze smalczykiem i flaga trzymana z dumą. I choć to była Słowacja, przez ten weekend czuliśmy się jak w Polsce. **MZO**



Organizatorzy dziękują za nagrody do loterii: firmie Hebe, która zapewniła znaczną część nagród, firmie Matejko, Klubowi Polskiemu w Bratysławie, Magdalenie Jančuorovej, Zenonowi Kurasowi, Agnieszce Drzewieckiej, Agnieszce Debowskiej, Alicji Zimie, Przemkowi Masłowi, konsulowi RP w RS Arturowi Łukiańczukowi, Silvi Subiak Wtorekovej ze Stowrzenia „Bonita”, gminie Zagórze oraz pozostałym klubowiczom za upominki i pamiątki, a Edycie Mikušovej za tort z czekolady dubajskiej. Podziękowania składa sztab organizatorów w składzie: Alicja Zima, Barbara Guttman, Małgorzata Wojcieszynska, Piotr Michna.

ZDJĘCIA: STANO STEHLIK

Noc w Stambule

ZDJĘCIA: STANO STEHLIK



Taki tytuł ma najnowsze przedstawienie, którego premiera w miejskim teatrze Pavla Orsaga Hviezdoslava odbyła się 23 maja. Jest to ostatnia premiera tego sezonu, a jednocześnie, trzeba przyznać, mocne uderzenie. Tym mocniejsze, że spektakl stworzyli młodzi ludzie na podstawie scenariusza Kristiána Lazarčika i Alžbety Vrzguli, która go wyreżyserowała.

O co chodzi w tej historii? Młoda autorka przyjeżdża do Stambułu, miasta tysiąca i jednej nocy. Chce mieć czas na pisanie, odpocząć, szczególnie od mężczyzny i siebie samej. Siedzi nad morzem, a przyplawy i odpływy decydują o jej życiu. Obok pojawiają się różni ludzie (Mária Ševčíková, Filip Pavuk, Peter Tilajčík, Braňo Mosný), wiodący spór na temat przemocy domowej.

Temat ważny, również dla nas. Wszyscy mieszkamy tu, na Słowacji, wrosliśmy w zwyczaje słowackie, takie jak choćby wielkanocne „biczowanie“ pań. Czyż nie jest to zabawne dla panów, kiedy mogą legalnie zbić kobiety? Przecież tak nakazuje tradycja! I tej tradycji bronią właśnie panowie. Nie ma się więc co dziwić, że nie chcą przyjąć konwencji stambulskiej (*Konwencja o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej*), prawda? Ale to tylko drobne smaczki rozważań scenicznych.

„Za scenografię za przysłowiowe dwa i pół euro dziękuję Alžbete Kutliakovej, która z niczego zrobiła coś niesamowitego, co wygląda na bogato!“ – mówiła podczas konferencji prasowej Valeria Schulczová, dyrektor teatru. I rzeczywiście, zasiadając na widowni, uświadomiłam sobie, że cała publiczność znajduje się w basenie i patrzy na kolejne baseny, znajdujące się na scenie.

Do tego zaserwowano odpowiednie oświetlenie wraz z oryginalną muzyką w wykonaniu Miloša Bulíka i Kristíny Smetanovej, zamaskowanych w odpowiednie stroje. Wszystko to robi ogromne wrażenie i pobudza do myślenia, bo przecież o to chodzi, by sztuka nas intrygowała. Dużym atutem przedstawienia jest także humor, który pozwala odpocząć od trudniejszych tematów.

MW



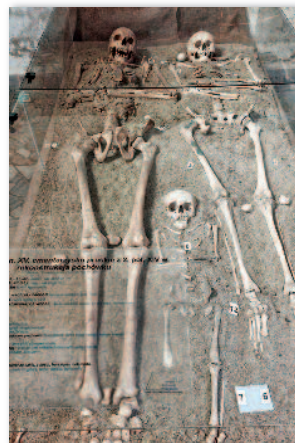
Śladami Świdrygiełły i Świętego Graala

Mam dla ciebie niespodziankę. Znalazłem świetne miejsce, które chcę ci pokazać. Spodoba ci się – oznajmił mi mąż podczas wakacji na Mazurach. Byłam bardzo ciekawa, co takiego wymyślił. Gdy podjechaliliśmy pod krzyżacki zamek, od razu poczułam powiew przygody. Stał samotnie na wzgórzu, z dala od turystycznego zgłętku i komercyjnych atrakcji. Właśnie takie miejsca lubię najbardziej: autentyczne, ciche i nieodkryte. Pewnie i tak będzie zamknięty – pomyślałam z lekkim żalem i wtedy, zupełnie niespodziewanie z wnętrza wyszedł mężczyzna. Pani chce zwiedzać? – zawołał. Skinęłam głową i zdecydowanie ruszyłam w stronę wejścia.

Strażnica czasu – podróż do serca krzyżackiej historii

Zamek w Bezlawkach (niem. *Bäslack*) to nie tylko budowla zabytkowa, to żywa opowieść zaklęta w kamieniu. Położony we wsi o tej samej nazwie, ok. 13 km na południowy zachód od Kętrzyna, wciąż emanuje duchem średniowiecza. Jego historia sięga końca XIV w., kiedy to Krzyżacy wzniesli go jako pograniczną strażnicę i siedzibę komornika krzyżackiego. Budowę rozpoczęto kilka lat po założeniu wsi przez komtura bałgijskiego Ulricha Fricke w 1371 r. Wykorzystywano go jako punkt zborny dla wypraw krzyżackich kierujących się na Litwę i Żmudź oraz jako strażnicę chroniącą nowo zasiedlane ziemie.

Warownie wzniesiono na planie prostokąta z dziedzińcem otoczonym kamiennym murem obronnym. Mury te wzmocniono czterema basztami oraz bramą wjazdową, co nadawało zamkowi zarówno charakteru obronnego, jak i reprezentacyjnego. Otoczony niegdyś bagnami i trudno dostę-



pnymi lasami zamek w Bezlawkach stanowił doskonały punkt obserwacyjny i strategiczny. Pierwsza pisemna wzmianka o nim pochodzi z 1402 r., kiedy to zatrzymał się tu wielki komtur Wilhelm von Helfenstein, wracający z wyprawy na Wilno. Towarzyszył mu książę litewski Świdrygiełło, najmłodszy brat króla Władysława Jagiełły, który współpracując z Krzyżakami, próbował zdobyć władzę na Litwie. Świdrygiełło przebywał na zamku aż do 1404 r., prowadząc w tym czasie intensywne działania dyplomatyczne i militarne. Jednak historia tego miejsca nie kończy się na krzyżackich zbrojach i gotyckich wieżach.

Gdy Zakon Krzyżacki zaczął tracić znaczenie, zamek stopniowo podupadał, aż w 1583 ro. przekształcono go w kościół protestancki – dobudowano dzwonnice, a z dziedzinica zrobiono cmentarz. Surowe, średniowieczne wnętrza, w których niegdyś brzmiał szcęk oręża, wypełniły modlitwy i śpiewy liturgiczne. W latach 80. XX w. obiekt przejęli katolicy, poddając go kolejnym zmianom.

Kości, monety i echo dawnych wieków

Dziś gotycki zamek w Bezlawkach pełni funkcję kościoła parafialnego pw. św. Jana Chrzciciela. Choć minęły wieki, a jego przeznaczenie zmieniało się wraz z historią regionu, zachował on oryginalny układ architektoniczny i wiele cech średniowiecznej warowni, a na dawnym dziedzińcu i poza murami obronnymi znajdują się groby z XIX i początków XX w. Jego masywne mury, pokryte szlachetną patyną czasu, wciąż opowiadają o tajemniczej i fascynującej przeszłości.



Zwiedzając, z ciekawością przemierzając kolejne pomieszczenia prześiąknięte historią. Zamkowe mury zdawały się szeptać opowieści o dawnych jego mieszkańcach, strażnikach i duchownych, którzy przez wieki kształtowali to miejsce. Towarzyszyło mi tylko dwoje ludzi, dzięki którym mogłam zobaczyć wnętrza dawnego zamku, ponieważ to właśnie oni byli umówieni na jego zwiedzanie, z czego i ja skorzystałam.

Na jednej ze ścian obiektu widać ślady po średniowiecznych inskrypcjach, a gdzieś indziej resztki dawnych okien strzelniczych. Uwagę zwracają też przedmioty tu znalezione. Ale największe wrażenie robią szkielety kobiety, mężczyzny i czteroletniego dziecka, umieszczone w gablocie, oraz zdjęcia z badań archeologicznych, podczas których odkryto monety z czasów krzyżackich.

Na krawędzi ciszy i historii

Stromymi drewnianymi schodami wspierałam się na masywną wieżę zamkową, z której roztacza się widok aż po horyzont, a wokół panuje niemal absolutna cisza. Dojście do okna widokowego było jednak nie lada wyzwaniem. Na ostatniej kondygnacji, w półmroku otworzyłam małe stałowe drzwi. Za nimi znajdowało się poddasze... bez podłogi. By dostać się do okna, musiałam przejść kilka metrów po drewnianej belce zawieszonej wysoko nad ziemią. Jedyne źródło światła to dwa niewielkie okna po drugiej stronie pomieszczenia. Zawałałam się. Balansując nad stropem gotyckiego zamku, z sercem bijącym szybciej niż kiedykolwiek wcześniej poczułam, że właśnie w tej chwili przeżywam prawdziwą przygodę. Gdy zeszłam z wieży, zaskoczył mnie widok

amerykańskich ekspertów badających kości i składających je w szkielety. Jak się dowiedziałam, od 2014 r. badania na cmentarzysku prowadzone są w ramach polsko-amerykańskiego projektu, realizowanego przez Fundację Slavia, Instytut Archeologii i Etnologii Uniwersytetu Gdańskiego oraz Humboldt State University w Arcata, w Kalifornii.

Tajemnica ukryta w murach

Ciekawa historia, moc wrażeń i zachwycające widoki to nie jedyne atuty zamku. Miejsce to skrywa również tajemniczą legendę o Świętym Graalu, według której słynny kielich miał trafić w ręce księcia Świdrygiełły, który przybył z nim do Bezlawek. Kronikarze wspominają, że przywiózł on dwa kielichy, a jeden z nich, zwany angielskim, mógł być poszukiwanym od wieków Graalem. Świdrygiełło miał pozostawić kielich na zamku. Ponoć w czasie wojny polsko-krzyżackiej w 1520 r. został on zamurowany gdzieś w murach twierdzy. Czy legenda jest prawdziwa? Trudno powiedzieć, ale przemierzając kamienne wnętrza zamku, nietrudno sobie wyobrazić, że być może gdzieś tam wciąż czeka ukryty skarb.



ZDJĘCIA: MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Jeśli więc szukacie interesującego miejsca, które nie jest sztampową atrakcją turystyczną, to są nim właśnie Bezlauki. To zamek bez tłumów, straganów i plastikowych rycerzy, ale za to to miejsce z duszą, historią i tajemnicą. A może wy sami, skracając gdzieś kiedyś z głównej trasy, traficie na zamek, gotowy opowiedzieć wam swoją własną, niezwykłą historię?

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA



Trzy powody, by wierzyć w młodych Słowaków

Choć codzienne wiadomości koncentrują się na kryzysach i konfliktach, warto dostrzec to, co daje nadzieję – zwłaszcza gdy tworzą to młodzi ludzie z pasją, pomysłem i determinacją.

O wielkim sukcesie Słowaczki Anny Podmanickiej i Czecha Tomáša Čermáka, którzy opracowali system oczyszczania wody i otrzymali za to prestiżową nagrodę Earth Prize 2025, pisałam w poprzednim numerze. Ale to nie jedyny powód do dumy. Na Słowacji powstają kolejne innowacyjne projekty młodych: od odplamiacza, opracowanego przez uczniów z Koszyc, przez ekologiczne perfumy z kukurydzy i lek przeciwwirusowy, stworzone przez 19-latkę z Nowych Zamków, po światowej klasy badania technologiczne, prowadzone na uniwersytecie w Żylinie. Oto trzy dobre wiadomości, które pokazują, że można zmieniać świat na lepsze.



Odplamiacz, który w 30 sekund usuwa plamę z krwi

Nie trzeba już namaczać, szorować ani korzystać z drogich środków chemicznych. Wystarczy spryskać tkaninę i odczekać pół minuty – tyle potrzebuje odplamiacz, stworzony przez uczniów gimnazjum w Koszycach, by poradzić sobie z uporczywą plamą krwi. Młodzież stworzyła ten produkt w ramach programu edukacyjnego z ekonomii stosowanej, który co roku umożliwia uczniom wcielenie się w rolę prawdziwych przedsiębiorców.

Ich szkolna firma Aima nie tylko opracowała skuteczny i bezpieczny produkt, ale także zaprezentowała go w bardzo profesjonalny sposób. W efekcie zdobyła pierwsze miejsce regionalnego etapu konkursu – pokonując konkurencję i zdobywając przepustkę do rundy krajowej. Tam uczniowie zmierzają się z dziesięcioma innymi zespołami. Zwycięska drużyna będzie reprezentować Słowację podczas europejskiego finału w Atenach. Aima już dziś pokazuje, że młodzież może z powodzeniem łączyć innowacyjność z przedsiębiorczością.

Perfumy bez ropy i lek przyszłości – sukcesy słowackiego nastolatka



Adam Kovalčík, 19-latek z Nowych Zamków, już przyciąga uwagę świata nauki i przemysłu. Opracował ekologiczne perfumy na bazie otrębów kukurydzianych – odpadu, z którego pozyskuje furfural, naturalny związek o migdałowym zapachu. Zapach ten jest nie tylko przyjazny środowisku, ale też bezpieczny dla zdrowia – bez toksycznych, ropopochodnych składników.

Ale to nie koniec sukcesów młodego Słowaka. Na międzynarodowym konkursie naukowym w USA zdobył

on główną nagrodę – 100 tys. dolarów – za opracowanie nowatorskiego leku, który zatrzymuje kopiowanie genów przez wirusy i pozwala kontrolować infekcje. Kovalčík pokonał niemal 1700 konkurentów z ponad 60 krajów, zdobywając także nagrody w kategorii chemii: 2. miejsce od Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego i 1. miejsce od Stowarzyszenia Technologii Farmaceutycznych i Chemicznych.

W tym samym konkursie Anna Podmanická zdobyła 1. miejsce w konkursie specjalnym



oraz 4. miejsce w konkursie głównym w kategorii inżynieria środowiska za projekt oczyszczania ścieków.



Nie tylko młodzi innowatorzy zyskują rozgłos – zauważane na arenie międzynarodowej zaczynają być również słowackie instytucje naukowe. Uniwersytet w Żylinie, choć nie nale-

ży do największych uczelni w Europie, zajął 14. miejsce na świecie w rankingu instytucji badawczych pod względem znormalizowanej liczby cytowań – jednego z najważniejszych wskaźników wpływu naukowego. To najwyższy wynik wśród wszystkich europejskich uniwersytetów uwzględnionych w analizie Wspólnego Centrum Badawczego Komisji Europejskiej (JRC).

Oznacza to, że badania prowadzone w Żylinie są nie tylko innowacyjne, ale

też cenione i wykorzystywane przez naukowców na całym świecie. Uczelnia znalazła się w jednym szeregu z takimi gigantami, jak Uniwersytet Stanforda, Uniwersytet Tokijski czy Uniwersytet w Toronto.

Dla Słowacji to powód do dumy – a dla młodych słowackich naukowców i studentów znak, że nie trzeba wyjeżdżać za granicę, by rozwijać idee, które mają realny wpływ na świat.

ALEKSANDRA PYKA

Mówią, że w Australii kangury skaczą po ulicach. Prawda czy fałsz?

Jak smakuje ten kraj? Coś między pastą vegemite a tortem Pavlova. Zapraszam na drugą część reportażu z Australii, w której opisuję, na ile stereotypy i wyobrażenia o niej pokryły się z moimi spostrzeżeniami.

Czy na końcu świata czekają kangury?

reportaż z Australii, cz. 2



Kierunkowskazy vs. wycieraczki

„Zawsze trudno mi się przyzwyczaić, będąc w Australii, do prowadzenia samochodu po lewej stronie. Mało tego, myłą mi się kierunkowskazy z wycieraczkami” – skarżył się nasz znajomy, stały bywalec tego kontynentu, zanim wraz z mężem wyruszyliśmy w tamtym kierunku. Mój mąż chętnie podejmuje tego typu wyzwania i już nie raz prowadził samochód w ruchu lewostronnym, czy to na Maltce, czy to na Cyprze. Zastanowiły nas jedynie te wycieraczki i kierunkowskazy. Będąc już na miejscu, w Sydney, zrozumieliśmy, co nasz znajomy miał na myśli. Okazało się, że w Australii również i one zostały zamienione i znajdują się po przeciwnych stronach kierowcy, stąd często zdarzało się i nam, że zamiast sygnalizować skręt, urucha-

mialiśmy wycieraczki. „To wymaga dużego skupienia, bo żadna automatyka w prowadzeniu samochodu się nie sprawdza” – komentował mój mąż zza kierownicy. Zresztą takich obszarów, wymagających uwagi i skupienia, było więcej – wiadomo, jak to za granicą bywa, gdzie człowiek musi rozwiązywać zagadki, by zrozumieć, jak niektóre rzeczy działają. O takich różnicach, do których trzeba się przyzwyczaić w Australii, jak m.in. o porach roku czy różnicy czasowej, pisałam w poprzednim odcinku reportażu.

Skazańcy w Australii

W nowym miejscu człowiek zauważa też rzeczy, które dla tubylców są oczywiste. Moją uwagę zwróciły znaki informujące o przejściu dla pieszych. Pokazują one bowiem nogi w ruchu. Spodobały mi się też eleganckie skrzynki pocztowe w kolorze czerwonym - jak się potem dowiedziałam, stanowiące jeden z symbolów Australii.



Na szczęście odległości tu liczone są w kilometrach, a wagę podaje się w kilogramach, choć wpływy brytyjskie są tu bardzo widoczne. Wszystko to za sprawą kolonialnego charakteru kraju. Wiadomo, stoi za tym wieloletnia obecność na tym kontynencie Brytyjczyków, którzy rozpoczęli kolonizację jego wschodniego wybrzeża (Nowa Południowa Walia).

W 1788 r. w rejonie dzisiejszego Sydney wylądowała tzw. pierwsza flota z grupą brytyjskich skazańców, a Australia stała się miejscem ich zsyłki. Szacuje się, że w ciągu 80 lat do kolonii australijskich zostało zesłanych ponad 160 000 skazańców.



Z brytyjskim akcentem

Co ciekawe, kraj ten jest powiązany unią personalną z Wielką Brytanią, co oznacza, iż każdy monarcha brytyjski jest jednocześnie monarchą Australii. Te powiązania były od dawna, nic więc dziwnego, że większość osób, które na początku XX w. przybyły do Australii, stanowili brytyjcy migranci, szukający zdrowego i dostatniego życia w innej części Imperium. Obecnie Australia jest niezależnym krajem, choć niektórzy spierają się, kiedy do tego uniezależnienia doszło. Według oficjalnej strony rządowej stało się to 1 stycznia 1901 r., ale nie wszyscy wskazują tę datę jako moment uzyskania niezależności – wymienianych jest bowiem też kilka innych, aż do roku 1988. Obowiązuje tu język angielski, choć doczytałam się, że można tu usłyszeć aż 250 różnych języków, a najczęściej używanym w Sydney językiem

(oprócz angielskiego) jest mandaryński, którym posługuje się aż 9,9% populacji tegoż miasta. Sydney liczy w sumie prawie 5,5 mln mieszkańców i nie jest stolicą kraju. Tą jest bowiem Canberra (jest to efekt sporu pomiędzy władzami Sydney i Melbourne o to, które miasto powinno pełnić tę funkcję, a jak wiadomo, gdzie dwóch się bije tam trzeci korzysta). „Kiedy posługujesz się tu angielskim z brytyjskim akcentem, masz większą szansę na uzyskanie dobrej pracy” – dowiaduję się od pewnej Polki, mieszkającej na tym kontynencie od ponad 40 lat. Jej córka wyrastała już w Australii, ale kiedy zrozumiała, dlaczego akcent jest tak ważny, uczęszczała na specjalne kursy, by mówić właśnie z takim akcentem.



QVB -luksus sprzed 100 lat

Jeśli chodzi o architekturę brytyjską, to jest ona obecna w wielu miejscach Sydney, a jej chyba najbardziej okazałą wizytówką jest piękna niegdyś hala targowa, dziś elegancka galeria handlowa QVB, czyli Queen Victoria Building. Pierre Cardin nazwał ją najpiękniejszym centrum handlowym na świecie. Jest rzeczywiście okazałe i imponujące – z zewnątrz i wewnątrz! Zachwyca przepychem, elegancją i zachowanymi elementami sprzed ponad stu lat, jak stare zegary, windy, zdobienia. Budynek został zbudowany w 1898 r. według projektu architekta Georga McRae'a jako pomnik złotego jubileuszu królowej Wiktorii i szybko stał się symbolem dobrobytu i rozwoju Sydney. Na przestrzeni lat przeszedł kilka renowacji, ale osiągnęły go także gorsze czasy, kiedy został tak zaniedbany, że rozważano jego wyburzenie. Na szczęście tak się nie

stało. Budynek zachował wiele ze swojej pierwotnej świetności, m.in. ogromną centralną kopułę i przeszklony dach, witrażowe okna czy mozaiki podłogowe, co czyni go doskonałym przykładem architektury wiktoriańskiej. Centrum liczy sobie 190 m długości, jest szerokie na 30 m i zajmuje cały obszar pomiędzy ulicami George i York, Market i Druitt. Na jego czterech piętrach znajdują się galerie handlowe z m.in. butikami najśłynniejszych kreatorów mody, kawiarniami i restauracjami.



Widoki panoramiczne

Wychodząc z budynku QVB, gdzie atmosferę tworzył grający na fortepianie pianista, aż trudno uwierzyć, że świat zewnętrzny pulsuje innym życiem. To ściśle centrum Sydney, gdzie jeżdżą tramwaje i przechadza się mnóstwo turystów. Tu, przed QVB widzimy po raz pierwszy bez-

domnych – wtedy uświadamiamy sobie, że ich obecność nie jest tak oczywista, jak w innych częściach świata. Stąd już tylko dwa kroki do słynnej wieży widokowej Sydney Tower Eye, gdzie z wysokości 309 m można obserwować przepiękną panoramę miasta z widokiem na ocean, port, zatoki, operę, a przy dobrej widoczności Góry Błękitne, oddalone ok. 100 km od miasta. W obrębie Sydney znajduje się aż 100 plaż! Jest co podziwiać z góry i na dole, bowiem na ulicach centrum, co krok napotkamy ulicznych artystów, jesteśmy też świadkami kręcenia teledysku.



Gdzie te kangury?

„Widzieliście już kangury?” – dopytywał nas przez Internet pewien znajomy ze Słowacji, który w mediach społecznościowych bacznie śledził naszą podróż. A my? Wciąż nie mieliśmy okazji spotkania kangurów. „Można je spotkać koło szpitala St. Leonard w North Sydney wcześniej rano, mniej więcej ok. czwartej wychodzą” – podpowiadała znajoma od wielu lat tu mieszkająca i podsyłała zdjęcia z kangurami. A my wciąż nie! Wiadomo, w centrum ruchliwego miasta raczej trudno je spotkać, więc postanowiliśmy, wyjechać na wycieczkę poza Sydney i udać się w miejsce, gdzie spotkanie z kangurami to pewnik.





Koale i kangury w Reptile Parku

Tym miejscem jest Reptile Park, usytuowany ok. 70 km na północ od Sydney. Najpierw obserwowaliśmy krokodyle, wygrzewające się na obrzeżach jeziora lub wynurzające się z wody. Potem dotarliśmy do koali – ależ to są leniuchy! Naprawdę potrafią się nie ruszać przez długi, długi czas, a jak otworzą oczy, to lekki ruch głową w ich wykonaniu już wydaje się wyczynem. Kiedy wreszcie docieramy na otwartą polanę, mamy kangury na wyciągnięcie ręki. Dosłownie! Są tak



przytulne, niektóre wręcz w sam raz do głaskania. Jestem zaskoczona, że ich sierść nie jest jakaś szorstka, jak niektórzy opisują – mnie się wydaje miękka, a same zwierzęta bardzo przyjazne. Być może przyzwyczajone do ludzi, więc nie są tak płochliwe, jak te dziko żyjące. Później stajemy się świadkami karmienia przez pracownika ogrodu przepięknych kolorowych ptaków. Zabawne jest obserwowanie kangurów, które także liczą na to, że coś im skapnie. Co ciekawe, kangurów w Australii jest prawie dwa razy więcej niż ludzi, bo aż 49,9 milionów zaś mieszkańców tego kraju jest 25 milionów.



Przy odgłosach nietoperzy

W trakcie naszego pobytu w Australii trzy razy zmieniamy zakwaterowanie, za każdym razem spełnia ono nasze oczekiwania. Najbardziej oryginalne wydaje się to, gdzie naszym lokum jest część domu, którą wynajmuje pewne małżeństwo. Dom usytuowany jest na wzgórzu w otoczeniu przepięknej roślinności, z widokiem na ocean. Raj? Chyba tak! W dodatku apartament jest przeszklony z trzech stron, więc



mamy wrażenie, że mieszkamy niemalże na zewnątrz, wśród dzikiej przyrody, która jest tu naprawdę imponująca! No i ten nieustanny śpiew ptaków – jak się potem przekonamy tu także nietoperze wydają oryginalne odgłosy. Wieczorem koncertują ponadto świerszcze. W każdym z apartamentów znajdujemy coś oryginalnego do spróbowania. Przypadają nam do gustu przyprawy i intryguje mikstura w słoiczku. Okazuje się, że to australijski specjał – vegemite.

22 miliony słoików vegemite

Z początku nie wiemy, jak używać vegemite. Okazuje się, że Australijczycy smarują nim chleb, bagietki lub krakersy, ponieważ pasta ma intensywny, słony smak. My robiliśmy także na jej bazie zupę, bo vegemite to wyjątkowa pasta z ekstraktu drożdżowego, bogata w witaminy z grupy B. Stworzył ją w 1922 r. chemik Cyril Callister jako alternatywę dla brytyjskiej Marmite. Pasta powstaje jako produkt uboczny warzenia piwa, a jej smak wzbogacają warzywa i przyprawy. Ma gęstą konsystencję i intensywny, słony smak. W Australii i Nowej Zelandii roczna jej sprzedaż wynosi ponad 22 miliony słoików!

Kulinarnie: kangur vs. jagnięcina

„Jedliście już kangury?” – dopytywał pewien znajomy ze Słowacji. Kangury?! Wydawało mi się to straszne, ale gdy przeszukałam oferty niektórych restauracji w pobliżu, okazało się, że są lokale, w których rzeczywiście oferowane jest mięso z kangura. My jednak się nie skusiliśmy, za to spróbowaliśmy tamtejszej jagnięciny, która opisywana jest jako australijski specjał. I rzeczywiście była pyszna, miętka i w oryginalnym sosie. Mało tego, gdybyśmy mieli komuś podpowiedzieć, gdzie można szybko zjeść takie danie, to będzie to.... IKEA w Sydney – ta koło lotniska. Trafiliśmy tam zupełnie przypadkiem. Oprócz smaku delectowaliśmy się też widokiem, który oferuje restauracja tego sklepu – na miasto w oddali oraz na lądujące i startujące przed oknami samoloty.

Na deser z primabaleriną

Wypadałoby coś jeszcze napisać o deserach. Wiedzieliście, że słynny tort Pavlova powstał w Australii? Podobno piękna, bardzo popularna w latach 20. XX w. rosyjska primabalerina Anna Pawłowa, podczas tournée po Australii i Nowej Zelandii, przebywając w hotelu Esplanade w Perth, zażyczyła sobie lekkiego deseru. Wiedząc, że w Australii w 1935 r. szef kuchni stworzył dla niej taki deser, który jeden z gości określił jako „tak lekki jak Pawłowa”. Czy to prawda? Nie wiadomo. My spróbowaliśmy takiego tortu, ale zrobionego na ogólnie dostępnym w sklepach spodzie i... okazał się nieco inny w smaku niż te, które znamy z Europy. Ale nie samymi tortami człowiek żyje, więc w następnym odcinku będzie mowa o architekturze, a na celownik wezmę m.in. słynną operę w Sydney.

MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA, Sydney



ZDJĘCIA: STANO STEHLIK, MAŁGORZATA WOJCIESZYŃSKA

Tembr życia

A teraz coś z zupełnie innej beczki. Coś świeżego. Ten materiał uderzył nagle i znieńacka – jeńców nie brał. Jedynym utworem wybił mi zęby. Było to wykonanie na żywo, złapane gdzieś w sieci, ale o tym może później. Zaniemówilem. Puściłem domownikom, również znieńacka. Uciły wszystkie codzienności. Uciły talerze i szklanki, uciło wino na języku. Drgnęło coś tylko w powietrzu i zaczęło przybierać na sile. Dzieje się tak zawsze, gdy muzyka uderza we wszystkie w tę samą strunę. Powstaje niesłyszalny, ale silnie wyczuwalny tembr emocji, dowód na to, że wszyscy są dostrojeni do tej samej częstotliwości. Stałem tak i chłonałem, trzymając w ryzach nadmierne reakcje. Żeby tylko nie spłoszyć chwili, żeby je nie zdeptać, bo pod stopami miałem *Chrúst*.

Gdy Lemon stał się popularny, jakoś mi nie podszedł. Nie żebym specjalnie zabiegał o to, aby zaznajomić się z twórczością zespołu, w końcu to nie moja praca, ale to, co oboli mi się

o uszy, nie zrobiło na mnie wrażenia. Zwróciłem jedynie uwagę na manierę wokalisty, a trzeba czasu i chęci, aby takie rzeczy w sobie ułożyć i ustalić ze sobą, czy to kaprys jest, czy coś rzeczywiście oryginalnego. Gdy na fali popularności zaczęli się pojawiać mniej lub bardziej udolni naśladowcy owej manieri, czułem już podskórnie, że jednak mamy do czynienia ze zjawiskiem. Z każdej strony wyskakiwała nowa gwiazdka, która albo śpiewała jak Herbut, albo jak Natalia Przybysz, w skrajnych przypadkach, jak miks obu, czego już w ogóle nie dało się słuchać. To, że współczesna mainstreamowa scena muzyczna w Polsce, poza małymi wyjątkami, ale w zasadzie bez niewinnych, jest absurdalnie wtórna brzmieniowo i artystycznie, papuzia wręcz i niesmacznie landrynkowa, wiedzą chyba wszyscy. W każdym razie zalew imitatorów przyćmił mi istnienie zespołu Lemon i wypłukał mi z oczu postać Igora Herbuta na lata.



Na szczęście dla mnie Igor Herbut to wytrawny gość, artysta przez wielkie „A” – świadomy, rzetelny, szczery, posiadający warsztat, posiadający swój język, posiadający w końcu tożsamość. Było kwestią czasu, kiedy trafi do mnie z takim utworem jak *Corda*, bo to ten właśnie utwór o nalogach, o kondycji współczesnych ludzi odzyskał dla mnie Herbuta. I od tej pory Herbut pojawia się u mnie



„Null: Wojna bez odkupienia” Szczepana Twardocha



Nie trafili w jamę. To jedyna rzecz na całym świecie, w całej jego rozciągniętej na tysiąclecia, na miliony lat historii, która ma znaczenie. (...) Nic więcej nie ma znaczenia”.

Na nullu, czyli na linii frontu, w jamach i piwnicach w ruinach domów po obu stronach są okopani żołnierze. Czasem przesuną się do przodu, czasem się cofną. Czasem dron trafi w ich kryjówkę i staną się kodem 300 (ranni) lub – w gorszym przypadku – 200 (martwi). Być może kiedyś podejrzewali lub czuli, jaki to ma sens, ale teraz to już wątpliwe.

Jednym z takich żołnierzy jest Koń, były intelektualista, były syn, ojciec, brat. Ale to już też nie ma znaczenia. Właśnie dlatego jest tam, gdzie jest. Coś w nim pękło i to tak bardzo, że zamknął za sobą drzwi swojego warszawskiego mieszkania, usunął swoje profile w mediach społecznościowych, zamknął swoje życie na klucz i odszedł. I to właśnie do Konia autor zwraca

się najczęściej, choć oferuje także całą galerię przeróżnych innych historii. Poprzez losy żołnierzy i żołnierki, ale też innych ludzi ze strefy wojny, pokazuje jej daremność.

Język Twardocha pełen jest specyficznych słów z żargonu wojskowego, które trzeba powoli przyswoić i opanować, podobnie jak wszechobecne ukraińskie wulgaryzmy. Jednocześnie

autor zwraca się do żołnierzy, okazuje im zrozumienie, chociaż ich motywacje są często niezrozumiałe.

Po raz pierwszy ze stylem tego pisarza zetknąłem się na początku swojej przygody z językiem polskim, gdy otrzymałem jego powieść pt. „Morfina”. Już sama okładka mnie zafascynowała. Przedstawiała twarz zniekształconą w taki sposób, że od razu było można do-

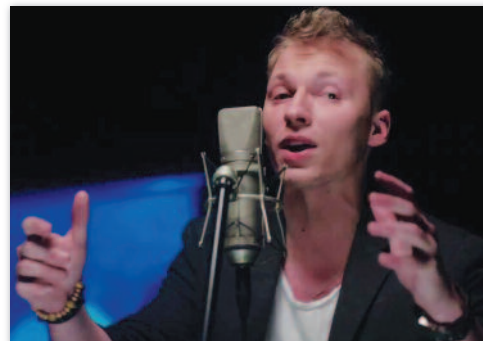
w domu regularnie, i zawsze, gdy się pojawia, jest pięknie.

Wydany 17 kwietnia 2020 roku album rozpoczynają leniwie *Latające stonie* i robią to po lemkowsku. *Jasny* to przytłaczający swoim ciepłem utwór o byciu tatą, chyba najbardziej wzruszający na całej płycie. *Niesłuchanie* kojący i pogodny *Tańczmy* odkamienia serce. *Miłość i mleko* z jednej strony delikatny i pełny nadziei, ale jakby chłodniejszy i bardziej chropowaty z drugiej.



Jest pierwszą wskazówką do całego albumu, który nie jest tylko zbiorem piosenek, aczkolwiek te jako osobne byty radzą sobie świetnie, ale chronologicznie ułożoną opowieścią opowiedzianą od końca. Najbardziej rockowy *RO* traktuje o wdzięczności za popełnione błędy. Z kolei *Los* to wiersz Leopolda Staffa, który idealnie wplata się w całość.

Co ciekawe, następująca po nim *Amnestia i amnezja* nie odbiega jakością od liryki Staffa. Cała płyta



w warstwie lirycznej wznosi się wysoko, bardzo wysoko, daleko poza piosenkarskie standardy. Ponadto artysta nigdzie się nie śpieszy, pozwalając sobie na długie instrumentalne komentarze. Całość puentuje *Krakowski spleen* z repertuaru grupy Maanam.

Życzę Igorowi Herbutowi - songwriterowi kolejnych tak udanych albumów. Jest na najlepszej drodze do tego, aby jego płyty stały na mojej półce obok tych Leonarda Cohena czy Nicka Cave'a. W końcu coś, co lubię najbardziej, ale tym razem po polsku!

ŁUKASZ CUPAŁ

strzec coś dziwnego. Także i w tej powieści Twardoch zwracał się z życzliwością do bohatera w Europie zagrożonej w zupełnie innej wojnie.

Wojna w powieści „Null” jest beznadziejna i przynębiająca. Jest trochę jak historia żołnierzy, ukrywających się w okopach I wojny światowej w powieści Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian”. Tutaj również nie ma niczego nowego, tylko strona świata jest inna. Autor bezlitośnie przygląda się obu stronom konfliktu. Komentuje sytuację bogatych Ukraińców, którzy uciekli na Zachód, handlarzy śmiercią w Kijowie, pragnących zarobić na wojnie, ale także fakt, że bez zbiórek publicznych i prywatnych środków ochotników żoł-

nierze nie mieliby ani ubrań, ani wyposażenia, ani broni.

„Są dwa światy, jeden tam, a drugi tu” – zapisuje Koń w swoim notatniku. Warszawa i Kijów to jeden i ten sam świat, linia frontu to coś zupełnie innego. W kijowskiej restauracji, którą odwiedza podczas krótkiej przepustki, spotyka zupełnie innych ludzi. Rosyjskojęzyczną grupę rosyjskich mężczyzn, spędzającą miło czas, turystki z Zachodu, popijające wino.

Kiedy rozbrzmiewa syrena alarmowa, wszyscy oni tylko wzruszają ze zmęczeniem ramionami i wracają do przerwanych rozmów. Świat, w którym Koń szuka odkupienia, zapomnienia, a może odpuszczenia, jest ubłocony, wychudzony, nudny, a jednocześnie

niebezpieczny. Nie można być w obu światach jednocześnie, nie można zrozumieć ich obu.

Jest tu jeszcze jedna elementarna kwestia – wartość ludzkiego życia. Czy życie zagranicznego biznesmena, jeżdżącego po ukraińskich

miastach w kulooodpornym samochodzie terenowym w poszukiwaniu miejsca, w którym mógłby zarabiać pieniądze, jest warte więcej niż życie żołnierza walczącego za swój kraj, poruszającego się starym jeepem z nadwoziem z papieru? Gdzie tak naprawdę toczą się wojny – przy pełnych stołach czy w piwnicach na linii frontu, w wodzie po kolana?

Twardoch zadaje pytania, na które nie ma dobrych odpowiedzi. To też jest oznaka dobrej literatury. Hollywoodzki happy end wcale nie musi nadejść, nie ma co liczyć na katharsis. Null to ogromnie wartościowa pod kątem literackim podróż przez pustkowia. Chętnie przez nie przeszedłem.

MARIÁN HAMADA



Ten film pojawił się na Netflixie bez szumnych zapowiedzi. Można nawet uznać, że pojawił się niepostrzeżenie, a jest piękną i wrażliwą opowieścią o miłości niebanalnej, choć wątek początkowo może wydawać się już znany i ograny, bo mieści się w kategorii kina love story. Zarazem to film o życiu, akceptacji i trudnych decyzjach. Co ważne, nie jest to opowieść stereotypowa, a intymnie przetworzona przez wrażliwość bohaterów i reżysera Tadeusza Śliwy.



Kiedy poznajemy Agatę, jest ona osobą aktywną, pełna pomysłów i chęci działania. Pracuje w ośrodku dla trudnej młodzieży. Agata jest niewidoma, wzrok straciła w dzieciństwie, ale nauczyła się czerpać radość z życia. Zdziwienie, a nawet zdumienie budzi jej pasję – nurkowanie na bezdechu. Robi to z nieukrywaną radością. Po mieście co prawda porusza się z białą laską, ale chodzi sprężysto i pewnie. Praca z trudnymi chłopakami ją mobilizuje. Potrafi z nimi wejść w zwarcie, choć generalnie stara się zrozumieć sytuację, w której się znaleźli. Szuka też sposobów, by im pomóc.

Agatę w filmie „Światłoczuła” gra aktorka jeszcze mało znana, ale urodziwa i pełna seksapilu – Matylda Gieźno. Wcześniej wystąpiła już w głośnym filmie „Kos”, który Państwu polecałam i w nowym „Znacho-



rze”. Proszę zapamiętać to nazwisko, bo wiarygodność postaci, autentyczność, wrażliwość i odwaga aktorska imponują w filmie „Światłoczuła”. Nie ma w tak zagranej postaci niepotrzebnych banalnych emocji, jest natomiast siła i świadomość, że życie z taką dysfunkcją wymaga szczególnych umiejętności. Matylda Gieźno w roli Agaty jest naprawdę przekonująca – jej dokonania życiowe na ekranie śledzi się z zainteresowaniem i podziwem.

Roberta gra Ignacy Liss. Agata spotyka go przypadkowo na sesji zdjęciowej, bo jest on wziętym i znanym fotografikiem. Ta sesja to krok do kolejnego artystycznego projektu, który oczywiście powinien być sukcesem. Bowiem Robert jest przekonany o swoim talencie i wierzy, że posiada-



ne umiejętności przyniosły mu uznanie. Jest człowiekiem sukcesu. Jednak w jego postawie można też odnaleźć nieśmiałość, zamknięcie w sobie, jakąś melancholię i nie do końca opanowany smutek. Agata powoli przełamuje bariery w kontaktach z nim i udowadnia mu, że prawdziwe życie to nie tylko robienie doskonałych zdjęć.

Wcielający się w rolę Roberta Ignacy Liss jest aktorem już od kilku lat obecnym w naszym kinie. Jest absolwentem Akademii Teatralnej i świetnie czuje kamerę, a co ważniejsze z Matyldą Gieźno stanowią ciekawy duet filmowy młodych ludzi, którzy zaczynają być dla siebie ważni. Historia rodzącego się między nimi uczucia jest opowiedziana ciekawie, subtelnie i bez cukierkowego upiększania. Robert otwiera wrażliwość Agaty na nowe, nieznane jej wcześniej doświadczenia zmysłowe, a Agata uczy Roberta akceptacji tego, co jest ważne i otwiera jego skrywaną odwagę do podejmowania precyzyjnych decyzji.

Realizm sytuacyjny, buzuje napięcia i młodzieńcza wiarygodność są pokazane wiarygodnie i profesjonalnie zarówno dzięki reżyserii

Tadeusza Śliwy, jak i świetnym zdjęciom Michała Englerta, doświadczonego i bardzo wrażliwego operatora. Jego zdjęcia z ogromnym taktem i wewnętrznym wyciszeniem pokazują stany emocji, które powoli opanowują dwoje wrażliwych bohaterów. Równie ciekawe są ujęcia z warsztatów z trudną młodzieżą, które prowadzi Agata.

Dokumentacja do tego filmu była długa, opierała się m.in. na współdziałaniu z Polskim Związkiem Niewidomych i spotkaniach z osobami niewidomymi. A niektóre sceny są wprost wzięte z życia. Po premierze filmu reżyser nie ukrywał, że na planie pracowali niemal do ostatniego filmowego ujęcia, korzystając cały czas ze wsparcia osób ze świata niewidomych i chłopaków z ośrodków wychowawczych.



Scenariusz napisali Hanna Węsierska i Tomasz Klimal, a muzyka – niezwykle ważna w tym filmie, zarówno nastrojowa, jak i akcentująca klimaty niektórych scen – jest dziełem Kaśki Sochackiej, Korteza i Olka Świerkota. Zwracam też uwagę na precyzyjny i dokładnie wygenerowany dźwięk, bo to świat, który nadzwyczaj dobrze słyszy inteligentna i mądra Agata. Bardzo polecam dorosłym widzom ten film w Netflixie. Warto zatopić się w świecie bohaterów i im uwierzyć.

ALINA KIETRYS

Na południowych stokach Niżnych Tatr, na wysokości 924 m n.p.m. położona jest mała, dziś niemal całkowicie zanikła wieś Kalište. Znajduje się ona na północny wschód od Bańskiej Bystrzycy w miejscu o niezwykle znaczeniu, związanym z historią oporu, odwagi i ogromnej tragedii.

Górnicza osada Kalište powstała w 1525 r. i przez wieki była częścią regionu o silnych tradycjach hutniczych i wydobywania rud metali. Na początku XIX w., po upadku górnictwa miejscowi mężczyźni zaczęli pracować jako drwale. W czasie II wojny światowej, szczególnie po wybuchu słowackiego Powstania Narodowego i zajęciu Bańskiej Bystrzycy przez armię niemiecką w październiku 1944 r., wieś stała się jednym z centrów ruchu partyzanckiego. W gęstych lasach, otaczających osadę, ukrywali się Żydzi, uchodźcy oraz dziesiątki oddziałów partyzanckich.

Tutaj znajdowała się również siedziba części brygady partyzanckiej „Śmierć Faszyzmowi”. Mieszkańcy osady wspierali partyzantów żywnością oraz schronieniem. Za udzieloną pomoc zapłacili najwyższą cenę. W niedzielę, 18 marca 1945 r. o świcie, niemieckie oddziały SS otoczyły wieś, a następnie do niej wkroczyły. Mieszkańców brutalnie zastrzelono, a całą osadę doszczętnie spalono – wiele osób spłonęło żywcem. W ciągu kilku godzin spalono 36 domów i zamordowano 46 osób, w tym kobiety, dzieci i starców. Życie, które niegdyś tętniło w tej górskiej miejscowości, zgasło.



ZDJĘCIA: MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA



Słowackie perle



Po wojnie miejsca tego nigdy nie odbudowano, zdecydowano bowiem, że pozostanie jako wieczne świadectwo męczeństwa i oporu. W 1961 r. Kalište uznano za narodowy zabytek kultury. Z pierwotnej zabudowy przetrwały jedynie kamienne fundamenty 36 spalonych domów i dwa zrekonstruowane budynki. To właśnie w nich mieści się niewielkie muzeum oraz tablice informacyjne, prezentujące życie mieszkańców osady i dramatyczne wydarzenia z marca 1945 r. Kalište to coś więcej niż tylko refleksja nad wojenną tragedią. To hołd oddany ludziom, którzy tu mieszkali, ich codziennemu życiu, pracy i odwadze w najciężniejszych dniach historii Słowacji.

Jedną z ofiar była rodzina Bučko, o której przypomina ostatnia zachowana fotografia. Júlia Bučková została rozstrzelana na progu własnego domu, a jej mąż Alexander w ogrodzie. Cudem ocalał ich najmłodszy syn Ivan, który ukrył się w lesie, drugi syn Alfonz niestety został schwytany i pod koniec wojny wywieziony do nazistowskiego obozu koncentracyjnego. Przy życiu trzymała go wiara, że znów spotka swoich bliskich. Dopiero po

powrocie do domu po wojnie dowiedział się, co się z nimi stało. Zmarł 10 lat temu w wieku 90 lat.

Dziś w miejscu, gdzie niegdyś tętniło życie, trwa milczące świadectwo historii. Niewielka odbudowana kapliczka, skromny pomnik oraz rozciągający się obok „Sad Ofiar”, w którym rosną 102 drzewa, z których każde symbolizuje jedną spaloną słowacką wieś, upamiętniają ofiary tej tragedii. Obecnie, gdy mija 80 lat od zakończenia II wojny światowej, warto przypomnieć o tym żywym pomniku bohaterstwa, wspólnoty i niezłomnego ducha zwykłych ludzi. To właśnie tutaj, w ciszy gór i śladach po spalonych domach, można odnaleźć sens słowa „pamięć” jako uhonorowanie życia i odwagi, która na zawsze pozostała w świadomości narodowej.



Podczas letnich wędrówek, nie przegapmy tego miejsca z jego spokojem, historią i siłą, która wciąż bije wśród tych górskich szlaków. To idealna okazja, by zatrzymać się na chwilę, wsłuchać w ciszę i poczuć moc tego miejsca, które mimo upływu lat wciąż pamięta o tych, którzy tu żyli i walczyli.

MAGDALENA ZAWISTOWSKA-OLSZEWSKA

Autobus Smokovec – Zakopane – Chochołów już kursuje

Mamy to! Po dziewięciu latach starań udało się w końcu uruchomić samorządowy autobus transgraniczny Kolei Małopolskich Stary Smokovec – Zakopane – Chochołów. To na razie tylko dwie pary połączeń na dobę, ale będzie więcej. Uruchomienie autobusu przełamuje wieloletni impas i jest dobrą wiadomością dla społeczności Polaków na Słowacji – również tych z Bratysławy, Żyliny, Rużomberka, Popradu i Koszyc. Pał sześć z Zakopanem, przedstawiciele polskiej społeczności na Słowacji nie muszą tam jeździć na jednodniowe wycieczki i tego samego dnia wracać z powrotem na Słowację. Solidny samorządowy całoroczny codzienny tani autobus Kolei Małopolskich ze Smokovca do Zakopanego i Chochołowa otworzył nam coś ważniejszego: tani i niezawodny dostęp do dworca kolejowego, skąd można się tanio i wygodnie dostać pociągiem choćby i nad Bałtyk.

tają kursy firmy PKS Zakopane relacji Zakopane – Łysa Polana – Poprad oraz firmy PKS Kraków relacji Kraków – Demänovská dolina (ok. 2000 roku). To wszystko już było, a ich reaktywacji oczekuje społeczeństwo.

Samorząd Województwa Małopolskiego rozpoczął prace nad przywróceniem autobusów transgranicznych w marcu 2017 r. W listopadzie 2019 r. marszałek Małopolski uruchomił pierwszą pilotażową linię transgraniczną Bukowina Tatrzańska – Zakopane – Oravice – Zuberec – Dolný Kubín. Cieszyła się ona sukcesem, ale z przyczyn proceduralnych została zawieszona 31 stycznia 2020 r. Odnowiono ją na trasie Bukowina Tatrzańska – Trstena w roku 2023 i funkcjonuje do tej pory. Od tego czasu polskie i słowackie samorządy uruchomiły już cztery autobusowe samorządowe linie transgraniczne. To codzienne całoroczne linie: Bar-

Do tej pory bardzo brakowało jednak samorządowego połączenia Zakopanego i słowackich Tatr Wysokich. Uruchomienie takiego połączenia nie ułatwiają skomplikowane przepisy polskiego prawa. Na Słowacji sprawa jest prosta: za pozamiejski transport autobusowy odpowiadają kraje samorządowe i tylko one. W Polsce ta odpowiedzialność jest rozproszona między gminy, powiaty i województwa, a żadne z nich się do niej nie poczuwa. Chociaż w drodze wyjątku akurat Województwo Małopolskie jako jedno z nielicznych tworzy sprawny i profesjonalny (na wzór Austrii i Słowacji) system linii autobusowych, w tym transgranicznych ze Słowacją.

Akurat jednak linii Zakopane – Stary Smokovec lub Zakopane – Poprad Małopolska nie miała prawa uruchomić. Po stronie polskiej ta linia przebiegałaby bowiem tylko po terenie jednego powiatu – Tatrzańskiego. Wyłączne prawo i obowiązek utworzenia takiej linii transgranicznej (Zakopane – Smokovec) ma zatem Powiat Tatrzański, który nie czuje się na siłach, by to zrobić, ani nie odczuwa takiej potrzeby. Województwo Małopolskie zgodnie z polskim (wadliwym) prawem choćby chciało, nie ma prawa uruchomić linii Zakopane – Stary Smokovec.

Ma prawo uruchomić jedynie linię transgraniczną, która po polskiej stronie będzie linią wojewódzką – czyli łączącą co najmniej dwa powiaty. A nie jeden. Autobus samorządowy Stary Smokovec – Zakopane – Chochołów powstał tylko dlatego, że udało się znaleźć sensowną formułę logistyczną, jak wydłużyć linię Smokovec – Zakopane poza Powiat Tatrzański, by ta linia przynajmniej formalnie zahaczała o sąsiedni Powiat Nowotarski (wieś Chochołów). Bo tylko wtedy mogło to zrobić i zrobiło Województwo Małopolskie które wspiera autobusy transgraniczne, a nie Powiat Tatrzański, który by tego nie zrobił.

JAKUB ŁOGINOW



Obecnie otwarte połączenia to nic nowego – powie wielu z nas. Pamiętamy przecież regularne kursy autobusów prywatnej firmy Strama z Zakopanego relacji Zakopane – Poprad (zakończone w 2020 roku), a także wcześniejsze kursy tej firmy relacji Zakopane – Oravice – Liptowski Mikuláš. Starsi czytelnicy pamię-

dejovské Kúpele – Bardejov – Krynica (SAD Preszów), Trstena – Termy Chochołowskie (Arriva Liorbus), weekendowa linia Nowy Targ – Stary Smokovec (Koleje Małopolskie) i codzienna całoroczna linia Bukowina Tatrzańska – Zakopane – Kościelisko – Suchá Hora – Trstena (Koleje Małopolskie).

Z okazji okrągłego jubileuszu Klubu Polskiego rozmawiamy z wieloletnią prezes Klubu Polskiego w Koszycach, Stefanią Gajdošową Sikorską.

Jaki był Twój pierwszy kontakt z Klubem Polskim?

Przyjechałam do Koszyc w 2003 r. do pracy. I jakimś cudem znalazłam się na wystawie w muzeum Löfflera. Tam poznałam Tadeusza Błońskiego, ówczesnego prezesa Klubu Polskiego w Koszycach, a jednocześnie artystę, pracownika Uniwersytetu Technicznego. Tadek zrobił na mnie duże wra-



Gdy spotkają się artyści, klub żyje plenerami i wystawami

żenie i widziałam, jak bardzo się uradował, że mógł ze mną porozmawiać po polsku. On się autentycznie cieszył, że spotkał osobę z polskim pochodzeniem i od razu mnie zaprosił na Dni Polskiej Kultury w Koszycach. Tak się zaczęła moja przygoda z Klubem.

Co było potem?

Spotkania klubowe, ale przede wszystkim plenery artystyczne, które organizowali w ramach Klubu Polskiego Tadeusz i jego żona Zdenka. To było coś! Byłam zachwycona, że mogę w nich brać udział, ponieważ to moja działka zawodowa, więc mogłam tworzyć i być jednocześnie wśród innych twórców. Mnóstwo inspiracji tam zyskałam. To był nowy rozdział w moim życiu zawodowym i towarzyskim. Wcześniej nigdy nie pracowałam tak, żeby ktoś na mnie patrzył, gdy maluję, ale i ja mogłam podglądać, jak pracują inni. Dzięki Klubowi wzięłam udział chyba w dziesięciu plenerach i tylu wystawach, bo po każdym takim plenerze mieliśmy zbiorowe wystawy. Pamiętam, jak całą grupą podróżowaliśmy na jedną z takich wystaw, która odbywała się na zamku w Marchegg w Austrii. Było to wyzwanie, ale i mnóstwo radości, śmiechu i wygłupów.



PIĘKNY 30 LATK

Potem Zednka Błońska zorganizowała plener dla dzieci, obecnie Ty je prowadzisz.

Tak, już 10 plenerów za mną. Moi pierwsi podopieczni sprzed 10 lat, to już dorośli ludzie. Bardzo lubię te plenery, bo na co dzień także uczę młodzież w szkole artystycznej, więc podczas tygodniowego wyjazdu mogę dzielić się wiedzą z dziećmi z polsko-słowackich rodzin. To co prawda inne plenery, ale też bardzo ciekawe. Oczywiście, wymagają dużego zaangażowania i odpowiedzialności. Trzeba też podkreślić, że to nie jest jakieś tam byle malowanie, ale mamy plan na tydzień, co chcemy osiągnąć, by na koniec efekty tej pracy artystycznej pokazać na wystawie w ratuszu w Litowskim Mikulaszu.

A jak wspominasz czas, kiedy na czele Klubu w Koszycach stała Ula Szabados?

Pamiętam, jak przyjechała do nas na jeden ze wspomnianych plenerów dla dorosłych. Ona była tak serdeczna i wciąż uśmiechnięta. Potrafiła się cie-

żyć tym, że jest wśród artystów. W końcu sama też była artystką – muzykiem. Potem, gdy Tadeusz Błoński przeprowadził się do Polski, to Ula stanęła na czele naszego Klubu. Myśmy się wtedy zaprzyjaźniły, pomagałam jej w organizacji różnych spotkań polonijnych w Koszycach, ale też często razem podróżowałyśmy do Bratysławy, by brać udział w imprezach tamtejszej Polonii. Tak się zrodziły silne, przyjacielskie więzi z niektórymi Polakami, czy polsko-słowackimi rodzinami, mimo że dzieliły nas i nadal dzielą setki kilometrów. Ba, nawet wspólnie spędzaliśmy urlopy.

Która z imprez Klubu w Koszycach zapadła Ci w pamięci?

Braliśmy udział w festiwalu zup, które najpierw gotowaliśmy, a potem były one sprzedawane w ulicach Koszyc – cały zysk był przeznaczony na cele charytatywne. Fajnie było się spotkać, razem gotować, pobyć ze sobą. Zdecydowaliśmy wtedy, że ugotujemy polską zupę ą la Meksyk, ponieważ mamy tu rodzinę z Meksyku. Wtedy wyzwaniem był zakup odpowiedniej przyprawy do tej zupy, jeździliśmy po nią do specjalnego sklepu przez całe miasto. Wtedy zauważyłam, że ten Klub ożył – łączyło nas wspólne wyzwanie.

Gdzie się spotykacie?

Te nasze spotkania są często także spotkaniami prywatnymi, bo znajomości między nami przerodziły się w przyjaźnię. Od kiedy jest konsulat, to spotykamy się tam. Tam organizujemy spotkania świąteczne, wspólnie ubieramy choinkę, robimy ozdoby, wystawy, wspólnie się bawimy i biesiadujemy.

MW



Zabytkowe pływalnie, które wciąż działają i stały się kulisami filmów. W kolejnym odcinku „Rozmów na temat sportowy” Ania i jej 12-letni syn Benio kontynuują rozmowę o obiektach sportowych w Polsce.



Obiekty sportowe, które zagrały w filmach cz. 2

BENIO: Mamo, ostatnio głośno jest o filmie „Dziewczyna z igłą” prawda? Dużo scen było kręconych w Polsce, również na pływalni w Zgierzu.

ANIA: Tak. Łaźnia w Zgierzu to nie tylko basen. To oryginalne historyczne miejsce, z wyjątkowym wnętrzem, służące mieszkańcom miasta już od prawie 95 lat! Została otwarta w lutym 1929 roku, a zaprojektował ją Leszek Dezydery Horodecki. W pierwszych latach działania wykorzystywana była ona przez mieszkańców do zażywania kąpieli. Znajdowały się w niej specjalne natryski i wanny. Pod koniec lat 20. ubiegłego wieku dostęp do sieci wodociągowej nie był powszechny. Tylko ok. 1 procent ówczesnych mieszkań posiadało łazienkę. To właśnie z tego powodu władze miejskie zdecydowały, że w Zgierzu powstanie miejski zakład kąpielowy, którego celem było zadbanie o higienę oraz zdrowie mieszkańców miasta.

B: Ale wygląd łaźni przyciągnął mieszkańców?



ni Miejskiej w Zgierzu sprawia, że jest wykorzystywana w produkcjach filmowych. To właśnie tam powstały zdjęcia do takich filmów, jak „Trójkąt Bermudzki”, „Lekcja martwego języka”, „C.K. Dezerterzy”, „Serce serduszko” czy serialu „Komisarz Alex”, a w październiku 2023 r. powstały w niej sceny do polsko-szwedzko-duńskiej koprodukcji „Dziewczyna z igłą” w reżyserii Magnusa von Horna. Obecnie łaźnia jest otwarta dla mieszkańców, którzy mogą w niej popływać i się zrelaksować.

B: Mamo, widziałeś ten film? Jak pokazano ten obiekt w filmie „Dziewczyna z igłą”?

A: Tak, obejrzałam go. W łaźni nakręcono ważną dla losów głównej bohaterki scenę - tam widzimy właśnie tytułową dziewczynę z długą igłą w ręku. To film dla osób o mocnych nerwach.

B: Jeśli mowa o łaźniach i pływalniach to u nas we Wrocławiu mamy piękny obiekt tego typu, prawda?

A: Tak. Mówią o nim „budynek z duszą”. To zabytkowe wnętrza Wrocławskiego Centrum SPA przy ul. Teatralnej.

B: Pływałaś tam?

A: Oczywiście. Miejsce to robi niesamowite wrażenie.

B: Jak to się stało, że taka pływalnia powstała w centrum Wrocławia?

A: Podobno trochę z zazdrości. Pod koniec XIX w. członkowie wrocławskiego Towarzystwa Pływackiego pojechali na zawody do Wielkiej Brytanii, gdzie pierwszy raz zobaczyli czynne przez cały rok kryte pływalnie. Wtedy przyszedł im do głowy pomysł, by coś podobnego wybudować właśnie we Wrocławiu. Inicjatorzy przedsięwzięcia poprosili o wsparcie tutejsze autorytety. Do Towarzystwa Akcyjnego Łaźnia Wrocławska przystąpili m.in. wydawca Heinrich von Korn, wybitny chirurg Jan Milkulicz-Radecki oraz ówczesny miejski radca budowlany Richard Pluddemann. W 1895 r. rozstrzygnięto konkurs na projekt basenu - wybrano koncepcję Wilhelma Werdelmanna, a w 1897 r. udośćpniono budynek, w którym były: basen (dzisiaj to basen nr 1), strefa łaźni, strefa wanień, restauracja oraz pomieszczenia gospodarcze. Dziesięć lat później dobudowano basen dla kobiet (dziś basen nr 2). Kolejny etap rozbudowy kompleksu przypadł na lata 20. i 30. Powstały wówczas baseny dla chłopców i dla dziewcząt (późniejsze baseny 3 i 4, ten ostatni funkcjonował do lat 70.). Niesamowite było to, że obiekt był samowystarczalny, miał własną kotłownię, źródło wody i system jej uzdatniania. Historyczne szkice, na których widać pomysły i rozmach projektantów, można dzisiaj obejrzeć w holu Wrocławskiego Centrum SPA.



A: Wygląd zgierskiej łaźni był bardzo nowoczesny jak na tamte czasy. Do tej pory jest obiektem niezwykle popularnym dzięki swojej oryginalności. Potencjał architektoniczny Łaź-





B: Czyli budynek powstał jeszcze przed I wojną światową. A gdy wybuchła II wojna, obiekt został zniszczony?

A: Na szczęście nie. W czasie II wojny gmach niemal nie ucierpiał.

B: To podobnie jak Hala Stulecia. A jakie ważne wydarzenia sportowe miały tam miejsce? Podobno padł rekord świata w pływaniu?

A: Tak, tak. W niedzielę, 18 października 1953 r. trybuny basenu przy ul. Teatralnej były wypełnione po brzegi. Tłum kibiców, dla których zabrakło miejsca, czekał na ulicy. Kibice napierali na drzwi. Wszyscy byli w napięciu – padnie rekord świata czy nie? Marek Petruszewicz miał do pokonania 100 m żabką i do pobicia rekord Rosjanina Minaszkina. To tylko podgrzewało atmosferę. O godzinie 18.00 na słupku 3. toru stanął samotnie przystojny, atletycznie zbudowany 19-latek. Zabrzmiał gwizdek i wystartował. Publiczność oszalała. Pływak po skoku do wody wynurzył się dopiero po 25 m i znów zanurzył. Trzy czwarte dystansu przepłynął pod wodą. Doping był niesamowity. Gdy dopłynął do mety spiker ogłosił: „Mamy rekord świata!”.

B: Zainteresowanie było tak ogromne tym wydarzeniem, że podobno niektórzy widzowie, którym nie udało się dostać do środka, próbowali wyważyć drzwi.

A: Tak, każdy chciał być świadkiem tej historycznej chwili. A reporter, który relacjonował zawody, z radości niemal wszedł z Petruszewiczem pod prysznic. To był pierwszy rekord świata w historii polskiego pływania. Ustanowiono go właśnie na basenie nr 1 Miejskich Zakładów Kąpielowych przy ul. Teatralnej. Wynik 1:10,9. Marek Petruszewicz z dnia na dzień stał się gwiazdą. O tym wydarzeniu przypomina tablica w holu budynku.

B: Dziś z pływalni nadal można korzystać?

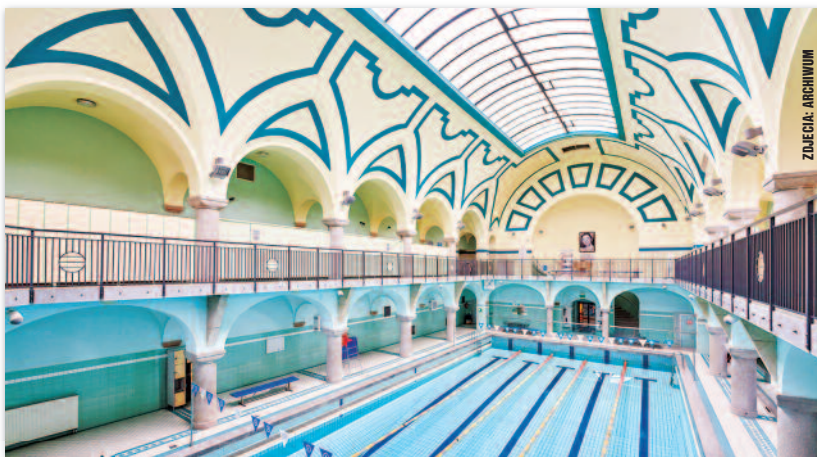
A: Obiekt przy ul. Teatralnej przyciąga architekturą i bogatą ofertą, w skład której wchodzi pływanie i różne inne formy relaksu. Wrażenie robi oryginalny wystrój saunarium z drewnianymi przebieralniami oraz nowe aranżacje w historycznych wnętrzach. Sauna parowa uchodzi za najgorętszą w mieście.

B: A filmowcy interesują się tym miejscem?

A: Dzięki temu, że historyczne wnętrza są piękne i dobrze zachowane, przyciągają twórców filmowych. To m.in. tutaj powstały zdjęcia do filmu „Silent Twins” Agnieszki Smoczyńskiej, jednej z najoryginalniejszych polskich reżyserek, twórczyni „Córek dancingu” i „Fuggi”. „Silent Twins” był pokazywany na festiwalu w Cannes. To film wypełniony muzyką. W rolach głównych występują bliźniaczki z Walii: June i Jennifer Gibbons, które przestają komunikować się ze światem. Od ponurej prowincji, która dziewczynkom ma do zaoferowania głównie upokorzenia, „milczące bliźniaczki” uciekają w eksplodujące neonowymi kolorami fantazje o piersarskiej sławie, romantycznej miłości i basenach pełnych Pepsi-Coli.

B: To fascynujące, że niektóre obiekty sportowe bywały świadkami nie tylko zmagani sportowych, ale także scen filmowych, którymi możemy się zachwycać nie tylko na trybunach, ale i w kinie.

ANIA I BENIO PORADOWIE



ZŁOŻENIA: ARCHIWUM

Ogłoszenie



Podcasty Destynacja Słowacja

W majowej ofercie podcastów „Destynacja Słowacja” dostępne są trzy odcinki historyczne. W pierwszym usłyszeć można rozmowę z historykiem Jurajem Marušiakiem na temat Słowacji podczas II wojny światowej, drugi odcinek poświęcony jest Jozefowi Tisze, zaś ostatni dotyczy udziału Słowaków

w festiwalu Eurowizji, a występują w nim słowacki komentator tego konkursu Roman Bomboš, oraz kompozytor i uczestnik Eurowizji w 2009 r. Rastislav Dubovský. Podcasty dostępne są na wszystkich platformach podcastowych, takich jak Spotify, Apple, Amazon, a także na stronie www.p Polonia.sk.

Majówka, Dzień Dziecka czy Boże Ciało to święta w polskim kalendarzu, podczas których rozpoczyna się zwykle sezon turystyczny, a co za tym idzie dostęp do wielu atrakcji, nieczynnych przez zimę. Od tego czasu aż do końca września codziennie lub w każdy weekend można skorzystać z przejażdżek historycznymi pojazdami komunikacji zbiorowej. Takie retro jazdy budzą coraz większe zainteresowanie rodzin z dziećmi i wczasowiczów, co pokazuje dane liczbowe.



Tramwaje

Każde miasto z działającą linią tramwajową to prawdziwy potentat letnich przejażdżek. Poznańskie Linie Turystyczne uruchomiły w tym roku aż trzy historyczne linie tramwajowe i dwie historyczne linie autobusowe, świętując w ten sposób 145-lecie MPK w Poznaniu. Wrocławskie Linie Turystyczne w tym sezonie uruchamiają jedną historyczną linię tramwajową i jedną autobusową. Warszawskie Linie Turystyczne rozpoczęły swoją działalność w 2009 r., a ich popularność ciągle rośnie. W tym roku można skorzystać z historycznej linii tramwajowej, autobusowej, popłynąć statkiem do Serocka lub przejechać się piaseczyńską wąskotorówką.



Przejażdżka w przeszłość

Na przestrzeni ostatnich lat kilka razy opisywałem historie samochodów, pociągów, statków i nie tylko. W końcu środki lokomocji to ważna sprawa w naszym życiu. W tym odcinku „Retrohity” środki lokomocji przedstawię w innej odsłonie – nostalgicznej, a jednocześnie turystycznej, ponieważ atrakcyjnych ofert przejażdżek w stylu retro przed zbliżającymi się wakacjami jest całkiem sporo.

Do Łodzi raczej nie popłyniemy, ale latem w tym mieście można skorzystać z letniej oferty Łódzkich Linii Turystycznych. Sezon przebiega pod hasłem 20. rocznicy funkcjonowania tychże linii, które oferują jedną historyczną linię tramwajową oraz trzy autobusowe.

Autobusy

Przejażdżka starym „ogórkiem” marki Jelcz, czy autosanem H09, przegubowym Ikarusem 280 lub innymi modelami autobusów miejskich i podmiejskich to prawdziwy magnes nie tylko dla tych z młodszego pokolenia, ale również powrót do czasów młodości niejednego starszego pasażera. Z takich okazji można się cieszyć we Wrocławiu, gdzie Wrocławskie Linie Turystyczne uruchomiły kursy historycznym kabrioletem – autobusem

tramwajem i aż trzech (!) linii autobusów.

Pociągi

Historyczne pociągi parowe, spalinowe, a w ostatnich latach i elektryczne, to wyprawa na cały dzień. Narodowy przewoźnik PKP InterCity w tym celu postanowił przywrócić do ruchu 11-wagonowy historyczny skład pociągu ekspresowego, który jeździł w latach 70. i 80. ubiegłego wieku, który będą zamiennie ciągnąć elektrowozy przemalowane na historyczne. Już niedługo będzie można pojechać oryginalnym ekspresem z czasów Gierka.

Z kolei Muzeum Kolejnictwa w Jaworzynie Śląskiej, Klub Sympatyków Kolei we Wrocławiu, Skansen Kolejo-



Jelcz, nazwanym „Fredruś” – jednym z symboli Wrocławia.

„Ogórkiem” co weekend można również pojeździć po Warszawie na trasach tematycznych, np. Mroczna strona miasta, Warszawa w pigułce czy Legendarne knajpy PRL-u.

Jeżeli ktoś będzie latem w Gdańsku, to będzie miał możliwość skorzystania z linii sezonowych, przygotowanych przez Zakład Transportu Miejskiego. W tym roku będą weekendowe przejażdżki historycznym

wy w Chabówce, przewoźnik TurKol – Turystyka Kolejowa planują szereg różnych imprez historyczno-przewozowych. Istną ciekawostką na skalę europejską jest kursujący od poniedziałku do piątku pociąg z lokomotywą parową na trasie Wolsztyn – Zbąszynek, w soboty na trasie Wolsztyn – Poznań. Pociąg z parowozem nie kursuje w ruchu planowym w niedziele i święta!

W wyszukiwarce internetowej wystarczy wpisać na przykład niektóre z podanych możliwości, wybrać plan podróży i ruszyć do czasów minionych.

Udanej wycieczki, dobrej pogody i miłych wrażeń!

ANDRZEJ IVANIĆ



ZDJĘCIA: ARCHIWUM

Kilka wspomnień -
niekoniecznie dobrych, ale na
szczęście z dobrym końcem.

Plus kilka przemyśleń - te są
zawsze dobre, bo w moim wydaniu!



Stresujące jacuzzi?

Pamiętacie, co wydarzyło się u mnie ponad pół roku temu? Miałam nieprzyjemny atak epilepsji, który zakończył się wizytą w szpitalu. W trakcie korzystania z naszego jacuzzi dostałam drgawek, straciłam przytomność i niestety zachłysnęłam się dużą ilością wody. To doprowadziło do ostrego zapalenia płuc i mój pobyt w szpitalu był konieczny. To był ostatni raz, kiedy korzystałam z naszego jacuzzi. Atak był niezwykle stresujący, a moi rodzice obawiali się, że już nigdy więcej nie wejść do wody. Nie wiem, kto miał większy strach – ja czy oni? W rzeczywistości ja się nie bałam, ponieważ nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się stało.

Relaks to relaks

Jednak niedawno, gdy zobaczyłam tatę podgrzewającego wodę w naszym baseniku, a mamę spędzającą czas na dworze, postanowiłam spróbować wejść do wody. Udało mi się wytrzymać tam prawie godzinę! Odkryłam również, że gdy chcę wyjść, wystarczy wstać i przełożyć nogę przez nadmuchany krawężnik jacuzzi. To było dla mnie bardzo relaksujące i przyjemne doświadczenie. Teraz, gdy na dworze jest tak ciepło, z pewnością będę częściej korzystać z tej możliwości relaksu.

Niech każdy wygląda, jak chce

Po schodach

Co jeszcze nowego się u mnie wydarzyło? Choć nadal nie jestem w takiej kondycji jak kilka lat temu, zauważyłam, że zaczynam mniej spać, a więcej chodzić. Potrafię już samodzielnie wchodzić po schodach i schodzić na dół, a także bez problemu przemieszczać się do samochodu. Mama nie musi mnie już wozić wózkiem z domu do auta. Czuję, że mam trochę więcej siły, mimo że przytyłam. Ale przecież każda kobieta potrzebuje odrobiny ciała, aby czuć się atrakcyjnie!

Sexiciało?

Czasami razem z mamą przeglądamy różne piękne zdjęcia w Internecie. Niektóre kobiety są szczuplejsze, inne mają więcej ciała, ale wiecie co? Mnie to w ogóle nie przeszkadza. Niech każdy wygląda, jak chce. Najważniejsze, abyśmy się wzajemnie szanowali i aby nie było hejtu na świecie, ponieważ przynosi on wiele złego. Zgadza się z mną?

Dobre wieści

Poza tym wszystko u mnie po staremu. Niedługo mama będzie musiała pojechać do Brna, ponieważ skończyły mi się leki, a niektóre z nich są niedostępne na Słowacji, więc mama po nie jeździ do Czech. Mam też świetną wiadomość – moje testy wątrobowe są bardzo dobre! Oznacza to, że nie muszę co miesiąc chodzić na pobieranie krwi. To było dla mnie stresujące,

ponieważ pielęgniarka często miała problem z moimi żyłami i musiała mnie kłuć kilka razy. Na szczęście skończyły się moje wampirze przygody. Podobno wystarczy, że pójść na kontrolę raz na pół roku. Mam nadzieję, że wszystko będzie działać w moim ciele jak w zegarku. Oczywiście, ataki epilepsji mogą się zdarzyć, ale lepiej dmuchać na zimne. Gdy ich jest mniej, lepiej żyje się całej naszej rodzinie.



Rytmiczne dźwięki

Słońce przynosi radość nie tylko mnie, ale z pewnością także Wam! W naszym ośrodku dzieje się coraz więcej. Wychodzimy na spacer, czasami na wycieczki, a niektóre dni spędzamy po prostu na świeżym powietrzu. Bardzo lubię obserwować moich kolegów, jak skaczą na trampolinie. Mnie się aż tak nie chce skakać, ale uwielbiam słuchać dźwięku siatki, która skrzypi, gdy oni się poruszają, oraz obserwować ich skaczące ciała. To fascynujące i uspokajające. Wszystko, co wydaje rytmiczne dźwięki, mnie relaksuje! Czuję się wtedy bezpieczna, ponieważ przypomina mi to bicie serca mojej mamy z czasów, gdy jeszcze byłam u niej w brzuchu.

Szum odkurzacza

A teraz idę posłuchać, jak pracuje odkurzacz. On także wydaje dźwięki, przy których się relaksuję. To bardzo przyjemne uczucie wsłuchiwać się w melodię odkurzacza. Spróbujcie, może i Wam się to spodoba? **NINA**



Co można zobaczyć z *wirsycka*



List szósty

Wnusię Moje Drogie,
czas ucieka, a to, co z przybywającym wiekiem najbardziej uprzykrza starym ludziom życie, to zmęczenie. Nie takie, jakie odczuwamy po powrocie z wielkich zakupów lub po sprzątaniu mieszkania. Zmęczenie, które mam na myśli, jest związane ze świadomością, że większość tego, co było do przeżycia, już przeżyliśmy, że czasu pozostaje coraz mniej, a sny naszej młodości już dawno zostały zapomniane.

Wtedy czasami przychodzą do głowy pytania, czy nie dałoby się wszystkiego cofnąć i zacząć zupełnie od nowa? Rozsądek jednak mówi, że to niepoważne mrzonki. No i jak tu się wygrzebać z takiego doła?!

Dla mnie kołem ratunkowym okazał się nasz dom w słowackich Piecinach, do którego tak lubicie przyjeżdżać. Najpierw myślałem, że jego kupno na kredyt to dobry sposób na galopującą drożynę. Ale potem okazał się on czymś dużo, dużo ważniejszym. Krajobraz jakby żywcem przeniesiony z moich rodzinnych stron, gwara używana przez miejscowych bardzo przypomina język, którym mówiła do mnie Matka. No i Polska dosłownie o rzut beretem. Wszystko tu okazało się powrotem do sytuacji z lat młodości, a kiedy jeszcze przyszedł Schengen i w czort poszły granice, moje zadowolenie sięgnęło zenitu. Wystarczyło przejść przez kładkę, by na drugim brzegu rzeki kupić polską gazetę albo lody

Calypso. Ale najważniejsza z wszystkich okazała się solidna biblioteka w pobliskim podhalańskim miasteczku. By jakoś wrócić do języka, którego od czasu odejścia Waszych rodziców praktycznie nie używałem, przez z górą siedem lat nie wziąłem do ręki innej książki niż polska, a że ten okres zbiegł się z moim przejściem na emeryturę, przeczytałem w tym czasie więcej niż w całym wcześniejszym życiu. I kiedy patrzę na to wszystko z dzisiejszej perspektywy, dochodzę do wniosku, że były to dobre decyzje.

Czy słyszeliście o Anteuszu (Antajosie), mitologicznym gigancie, którego sekret polegał na tym, że każde dotknięcie matki-ziemi przywracało mu siły, w wyniku czego nie można go było pokonać? Właśnie w taki sposób nasz dom na pograniczu Słowacji i Polski napęłnił mnie nową energią. Jednak, jak mówi mitologia, inny heros, Herakles, przechrzcił Anteusza, nie pozwalając mu podczas walki stanąć na ziemi i w ten sposób w starciu dwóch siłaczy zwyciężył. Postanowiłem nigdy nie powtórzyć błędu Anteusza i coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to miejsce, tak bardzo podobne do mojej Małej Ojczyzny, jest moją ostatnią stacją.

Dom i okolica sprzyjają też w szczególności sposobowi przemyśleniom nad tożsamością. Wystarczy wdrapać się na jedną z otaczających naszą wieś licznych gór, które dawno temu zostały odlesione przez paste-

rzy owiec i bydła i teraz zapewniają szerokie, przepiękne widoki. Ale nie tylko o krajobrazy chodzi.

Z *wirsycka* nie widać kamieni granicznych, które jeszcze do niedawna ostrzegały, jak podniesiony palec: bacność! – dalej ani kroku, to już nie twoja ziemia! Można natomiast dojrzeć w dole ludzi, którzy poruszają się jak mrówki, wychodzą ze swoich domów i wracają do nich, śpieszą na przystanek autobusowy, by na czas zdążyć do pracy lub szkoły, spotykają sąsiadów i wymieniają z nimi kilka słów – a ponieważ nie dochodzą tu żadne ludzkie głosy, z samego zachowania nie da się odróżnić Polaka od Słowaka. Tak, jakby po tej i po tamtej stronie rzeki żyli zupełnie tacy sami ludzie.

Skoro jednak wszyscy jesteśmy do siebie tak bardzo podobni, dla czego czasami się zdarza, że niektóre narody się nie lubią? Lub też napawają się bezgranicznym podziwem do samych siebie, lekceważąc „nie-naszych”, jak inna postać z mitologii greckiej, Narcyz? Czyżby przyczyny tego były ukryte w ich głowach? Skąd się tam wzięły? Kto je tam włożył?

Moi kochani, dzisiaj jednak nie siedzę na *wirsycku*, ale na ławeczce przed domem i gapię się na stado krów, skubiących trawę na zboczu po przeciwnej stronie doliny. I czuję się błogo.

Ściskam Was, dzieciarnia.

DZIADEK



Nareszcie nadszedł długo wyczekiwany czerwiec. Koniec roku szkolnego za pasem, wakacje zbliżają się wielkimi krokami. A to, jak wiadomo, najlepsza pora na przygodę! Warto więc dobrze się do niej przygotować i opracować stosowny plan. Jak to zrobić? Czytaj dalej, drogi Czytelniku!

Jak zaplanować wakacje marzeń?



Krok 1: Wybierz miejsce

Marzenia są po to, aby je spełniać. Tyle że jedni kochają góry, inni morze, jeszcze inni czują się najlepiej na rozbrzmiewającej głosami zwierząt wsi lub w wypełnionym zgiełkiem mieście. Zastanów się więc, co tobie sprawiłoby najwięcej

radości, po czym zwołaj rodzinną radę. Przedstaw swój pomysł, wysłuchaj propozycji pozostałych członków rodziny, pomyślcie wspólnie, czy i jak można dotrzeć do wymarzonego miejsca oraz jakie mogą być inne sposoby na realizację wakacji marzeń.

Krok 2: Zaplanuj aktywności

Teraz pora na stworzenie na kolorowej karcie papieru wakacyjnej listy zadań i wymyślenie ich tematu przewodniego. Wakacje detektywa?

Operacja „Książka”? Tajemnica leśnego jeziora? Twórz, wymyślaj, puść wodze fantazji! Oprócz listy rzeczy, które chcesz

zrobić na swoich wymarzonych wakacjach, możesz też zrobić listę miejsc, które chcesz odwiedzić, lub osób, które chcesz spotkać.



Krok 3: Spakuj się z głową

Nic nie sprawi ci takiej frajdy, jak samodzielne spakowanie plecaka – sam się przekonaj. Przygotuj samodzielnie lub z pomocą rodziców listę najpotrzebniejszych ubrań

i przedmiotów do zabrania, a potem spróbuj znaleźć dla nich miejsce w swoim bagażu. Taką listę możesz z powodzeniem uzupełniać i później wykorzystać przy okazji kolejnych wyjazdów.

Krok 4: Prowadź dziennik przygód

Wspomnienia z wakacji mają to do siebie, że bywają ulotne. Jak temu zapobiec? Weź duży zeszyt, do którego wkleisz zdjęcia, bilety, zbierzesz podpisy od nowych

przyjaciół, zanotujesz ich adresy i odwiedzone miejsca. Zastrzeżenie do takiego notatnika zimową porą to gwarancja szerokiego uśmiechu!

Wszystko gotowe? W takim razie do dzieła! Stwórz swój doskonały wakacyjny plan i ciesz się każdą chwilą zbliżającego się wypoczynku!

NATALIA KONICZ-HAMADA



Dubaj na talerzu luksus bez biletu lotniczego

Nie musisz pakować walizek i rezerwować biletów do Dubaju, żeby poczuć odrobinę bliskowschodniego luksusu! Wystarczy kilka składników, odrobina fantazji i... ochota na coś naprawdę dekadentckiego. Deser, który przeniesie cię prosto na złote piaski Dubaju, to drapieżnie pistacjowa czekolada dubajska.

Na dokładkę dorzucę przepis na sernik, który smakuje jak milion dirhamów - znajdziesz go jako bonus na stronie www.polonia.sk. Dubaj kocha przepych, więc i czekolada musi być w wersji „na bogato” - z dodatkiem kremu pistacjowego i... oczywiście złota!



Składniki:

- 600 g mlecnej czekolady (można wymieszać z gorzką, jeśli ktoś lubi)
- 200 g ciasta kataifi

Dubajska czekolada

- 200-230 g kremu pistacjowego
- 80 g masła
- jadalne złoto (opcjonalnie - ale kto by sobie żałował! u mnie: złoty spray)

Przygotowanie:

Kataifi posiekaj na mniejsze części. Masło roztop na małym ogniu na dużej patelni. Dodaj posiekane ciasto i smaż, aż zmieni kolor na złoty i stanie się chrupiące, następnie odstaw z ognia. (Jeśli kataifi jest już podsmażone - ten krok pomijamy). Czekoladę posiekaj. Roztop połowę w kąpieli wodnej, następnie zdejmij z ognia i dodaj resztę, mieszając do całkowitego rozpuszczenia. Ciasto wymieszaj z kremem pistacjowym. Do dwóch silikonowych foremek przelej połowę czekolady, pokrywając też boki (ok. 2 cm). Odczekaj, aż stwardnieje. Następnie nałóż nadzienie, wyrównaj i przykryj resztą czekolady. Schłódź w lodówce (ok. 3 godziny). Udekoruj według uznania - w końcu Dubaj znaczy „na bogato”!



zdjęcie: EDYTA MIKUŠOVÁ



To deser dla tych, którzy lubią czekoladowy smak z odrobiną arabskiej magii.

Czy warto sięgnąć po odrobinę dubajskiego luksusu? Oczywiście! W końcu kto powiedział, że złote desery są tylko dla szejków?